



„Pierwszorocznicy” w Danii witają rozpoczęcie studiów pełną temperamentu zabawą

Foto „World Student News”

Międzynarodowy Tydzień Studenta

10 listopada w Światowym Dniu Młodzieży zainaugurowane zostały tradycyjne już obchody Międzynarodowego Tygodnia Studenta, kończące się w dniu 17 listopada — Międzynarodowym Dniem Studenta.

Pierwsze obchody Międzynarodowego Dnia Studenta odbywały się w okresie hitlerowskiej okupacji krajów Europy. Manifestacje studentów w tym dniu, w rocznicę pierwszych bestialskich rozstrzelanych studentów Czechosłowacji, były odpowiedzią na terror faszystów wobec młodzieży i studentów w okupowanych przez nich krajach, były wyrazem wojny walki ogarniającej coraz szersze kręgi młodzieży, walki z faszystem o wolność i demokrację.

Hitlerowski faszystyzm został rozbity. Na I Światowym Kongresie Studentów w Pradze w r. 1946 przedstawiciele studentów postanowili zachować tradycję 17 listopada i obchodzić rokrocznie na całym świecie Międzynarodowy Tydzień i Międzynarodowy Dzień Studenta.

Studenci różnie obchodzą MTS w różnych krajach — walcząc o poprawę warunków życia i studiów, organizując przyjacielską wymianę delegacji, dyskusje, przeprowadzając zbiórki na pomoc dla studentów krajów kolonialnych, zależnych i zafaszyzowanych, organizując imprezy kulturalne i sportowe. Wszędzie jednak obchody te odbywają się pod hasłem walki studentów o ich prawa, o pokój, o współpracę i przyjaźń między narodami. Obchody MTS na całym świecie są również wyrazem coraz większej aktywności studentów w rozszerzaniu i umacnianiu wzajemnych kontaktów, w umacnianiu jedności studentów wszystkich krajów, którzy coraz bardziej skupiają się wokół organizatora i przywódcy w walce o lepsze warunki życia i studiów, postępek i pokój — Międzynarodowego Związku Studentów.



W lipcu br. studenci 12 krajów przeprowadzili w Alpach Austriackich seminarium na temat: „Drogi i metody osłabienia napięcia międzynarodowego”. Na zdjęciu: uczestnicy seminarium podczas jednej z wielu dyskusji.

poprosto

STUDENCKIE CZASOPISMO SPOŁECZNO-LITERACKIE
ZARZĄD GŁÓWNEGO ZWIĄZKU MŁODZIEŻY POLSKIEJ

Na właściwym torze

Gdy na AGH odbywała się V Konferencja Dzielnicy ZMP — dziesiątego numeru „Nowych Drog” nie było jeszcze w krakowskich kioskach gazetowych, jednak podczas obrad dysutowano problemy, które zostały poruszone właśnie w artykule wstępnym teoretycznego organu naszej Partii.

Referat przewodniczącego ZD ZMP — tow. Lejzerowicza skupił się na jednej centralnej dla ZMP na uczelni sprawie — pomocy władzom Akademii i Partii w przygotowaniu dobrego fachowca, budowniczego socjalizmu.

Chciałbym tu zwrócić uwagę na niektóre problemy poruszane w dyskusji, problemy aktualne nie tylko dla studentów AGH.

Aktyw Akademii rozumie, że najważniejszym zadaniem pracy organizacji na uczelni jest kształtowanie światopoglądu naukowego studentów, bo z tym łączy się przecież ich stosunek do nauki, do ludzi i do swojej przyszłej pracy.

Tu chyba na pierwszy plan wysunęła się sprawa wykładania przedmiotów ideologicznych.

Już w referacie stwierdzono, że zakład marksizmu-leninizmu nie pracuje dobrze. Za bardzo obciąża się studentów faktami historycznymi i gotowymi, znanymi formułkami czy przykładami. Nie zmusza się do myślenia, do samodzielnego dopracowywania się wniosków, które otrzymują w gotowej już formie.

Jeden z dyskutantów — tow. Zabawa, mówił o tym, że w godzinach przeznaczonych na pracę samodzielną nie ma po prostu czasu na przedyskutowanie przyswojonego materiału z marksizmu, ponieważ asystenci formalistycznie wymagają pisanie konpektów z całej przerebianej lektury. Efekt jest taki, że aby zrobić wyczerpujące, konpektu opracowanie się powierzchownie, bardzo często student musi „ściągać” od szybciej piszącego kolegi i w związku z tym samo przyswajanie materiału jest powierzchowne i płytkie, nie mówiąc już o głębszym przeanalizowaniu i zrozumieniu podstawowych zagadnień.

Wiąże się to również z pracą asystentów. Tow. Koperski — przewodniczący asystenckiego koła ZMP domagał się, aby studenci zmuszali swych asystentów do głębszej pracy z ludźmi, aby asystenci odbywali z członkami swych grup zebrania, na których studenci mogliby się wypowiedzieć na temat zajęć prowadzonych przez asystentów, na temat niedociągnięć w ich pracy dydaktycznej.

O braku żarliwości szeregu asystentów mówił tow. Wolek. Podawał on przykład pewnych ćwiczeń, podczas których, gdy wypłynęła sprawa religii, asystent uchylił się od zajęcia stanowiska, motywując to odpowiednim punktem Konstytucji PRL.

Nie wydaje się słuszne zdanie tow. Betleja — przedstawiciela katedry marksizmu-leninizmu, który powiedział na konferencji, że trzeba zacząć od spraw najprostszych, od rozprawiania się z przesadami, a dopiero później przejść do zagadnień światopoglądowych.

Tow. Jankowska w swej wypowiedzi dała wyraz temu, jak ważne

go znaczenia na uczelni nabierają problemy światopoglądowe. Mówiła ona o grupie studentów poznających z zapalem niektóre kierunki burżuazyjnej filozofii. Ludzie ci potrafili zasypać rozmówcę dużą ilością „obiektywnych” argumentów. Nasz aktyw nie umie im odpowiedzieć, ponieważ zbyt płytko zna naszą filozofię, nie mówiąc już o podstawowej znajomości filozofii idealistycznej.

Szkoda jednak, że na konferencji nie powiedziano wtedy, w jaki sposób organizacja pracuje i będzie pracować nad pogłębianiem przez aktyw ich wiadomości i nad tworzeniem opanowaniem marksizmu przez wszystkich studentów.

Wiele dyskutowano o sprawach nauki i jej treści. „Praktyka wykazuje, że podstawowym źródłem wychowania marksistowskiego jest proces nauczania” — takie słowa padły w referacie. Podawano w nim także przykłady, przemilczania przez wykładowców osiągnięć nauki rosyjskiej i radzieckiej, czy zmuszania studentów na zajęciach latedry części maszyn do rysowania... kapliczek i kościołów. Ze sprawa czujności w stosunku do treści nauczanych przedmiotów jest sprawą nadal aktualną, niech świadczy fakt cytowany przez tow. Monkiewicz — jeden z wykładowców podawał studentom cyfry — o ile zwiększy się produkcja stali po... III wojnie światowej.

O niewłaściwym programie nauczania na kursie magisterskim mó-

wił towarzyszy Wolek, który podał przykład formalistycznego obowiązku przepisywania norm na zajęciach z materiałowi ogniotrwałych.

Sporo mówiono o kołach naukowych mogących szczególnie wiele zrobić w rozwijaniu zamilowania do studiów i przyszłego zawodu. Na opiekunów tych kół wyznacza się nie profesorów lecz asystentów, nie bardzo wierząc w samodzielne możliwości pracy naukowej studentów. A przecież właśnie studenci, członkowie kół naukowych opracowali wiele wynalazków i projektów racjonalizatorskich, które już wprowadzono do produkcji.

Od koła naukowego przy katedrze podstaw marksizmu żądano, by zajmowało się bieżącymi, żywymi problemami, jak na przykład zagadnieniem moralności socjalistycznej młodzieży, od kół technicznych zaś — by zajmowały się najżywczejszymi problemami naszego przemysłu. Jednak tu również nie wskazano na to co w tym kierunku zrobiło ZMP i w jaki sposób ma pomóc kołom naukowym.

Rektor tow. Kowalczyk mówił, że profesorowie jeszcze często zbyt sucho i formalnie traktują wykładane przez siebie przedmioty. Jego zdaniem właśnie wykładowcy są najbardziej upoważnieni i potrafią najlepiej zainteresować młodzież zawodem, do którego ją przygotowują. Mówił również o tym, że władze uczelni zajmą się organizowaniem nauczania na kursie magisterskim mó-

DZIŚ
w numerze

- Formułki czy światopogląd str. — 3
- Zna siedmiu rzek str. — 4
- Średniowiecze 1954 r. str. — 6
- Olsztyn dyskutuje nad listem str. — 7

Napisał TADEUSZ JACKOWSKI



PROSTO od krowy

Za portiernią otwierają się widoki jak najbardziej nieoczekiwane. Rozdarta wykopem ziemia odsłania potężny rurociąg, przy którym ludzie maleją i nikną... Przejście od nieco senniejszej, źle zabudowanej ulicy do perspektywy olbrzymiej budowli, perspektywy spiętrzonych gmachów, gmatwaniny torów kolejowych, sieci wysokiego napięcia, zaskakuje — wprowadza w inny świat. Stare łódzkie opłotki wydają się zbyt ciasne dla Wielkiej Chemii, która rozsiadła się na szerokiach płaszczyznach wybiegających daleko na przedmieścia.

Najpierw cała gama zapachów. Wyrzucam się z jednej strefy duszącej i mdlejącej po to, by za chwilę zagłębić się w strefę, gdzie okropnie szczypią oczy i wierci w nosie. Fiołkami tu nie pachnie... Nos dziennikarski nie wystarcza jednak, aby odszukać w ogromnym labiryncie inżyniera Wrońskiego, który króluje niepodzielnie nad zakładem włókien białkowych, gdzie wszystko prosto od... krowy. Wbiurzę personalnym radcą: Idźcie główną aleją. Poprosimy Wrońskiego, aby wyszedł naprzeciw... Jak się poznać?... Wroński jest niewysoki,

krępy, o jasnych włosach. Szybko chodzi.

Po zacementowaniu kilkunastu ludzi, z których każdy był krępy, miał jasne włosy i szybko chodził, spotkałem wreszcie Wrońskiego. Wiódł mnie długo poprzez nowe strefy zapachów. Wreszcie gdy silnie powiało wonią mleczarni, serów, kwasów i dymów, trafiliśmy do zakładu włókien białkowych, gdzie rodzi się „wipolan”, włókno jak się rzekło prosto od krowy. Włókno kazeinowe. Tu także zrodził się jeden z wielkich triumfów młodych polskich inżynierów. Tu wyrósł sukces, jakich dotąd kazeina nie przeżywała w świecie...

...Na giełdach włókienniczych stolic europejskich zanotowano nagle poważne zdenerwowanie. We Włoszech gazety rozniosły wiadomość, że powstało nowe włókno. Uniwersalne! Niezastąpione! Włókno z... mleka! Reklamy przynosiły pełne zachwytu i przesady opisy cudownych właściwości mlecznego włókna. Mówiono o kobietach noszących jedynie „mleczne” suknie. Były to lata, kiedy mały uczniak o niesforowanych włosach, Włodzimierz Wroński, ganił do łódzkiego gimnazjum, gdzie mądry „czarodziej”, profesor Dziemianowski, osobistym zapalem werbował młodych w służbę królowej chemii. Wroński rozmiłował się w nauce, pozwalającej wyצרowywać cuda, zmieniać świat...

W tym czasie włosko - polski koncern budował fabrykę mlecznego włókna w Pabianicach. Fabryka nie była duża, ale dochody znaczne — poważnie zasilające kieszenie włoskich kapitalistów.

Wojna wyrzuciła wszystko do góry nogami. Hitlerowcy przenieśli fabrykę z Pabianic do Łodzi. Wówczas „wciągnął się” na listę załogi młody „robotnik budowlany”... by, jak mi teraz mówi, być jak najbliższy ulubionej chemii... Pod hitlerowskimi rządami włókno nie szło. Gestapo szalało z wściekłości, ale udowodnić sabotaż to sprawa trudna. Polacy winę zwalali na „dziwny kapryś” chemii... Wroński się uśmiecha... Hitlerowcy doprowadzili tymi „kaprysami” do wściekłości, widząc całkowitą niemożność prowadzenia fabryki — zamknęli ją, maszyny wywieźli...

...Wroński powiedział: — Okropnie trudno było nam zacząć. Wiele starszych kolegów po prostu zwątpiło w celowość

wznawiania produkcji bez maszyn i doświadczeń. Znalazł się jednak zespół robotników, którzy uparli się zacząć. Szło najpierw jak w laboratorium — produkowaliśmy śmiesznie mało. Wkrótce stało się zadanie ustokrotnienia produkcji. Trzeba było zabrać się całą parą do opracowania technologii, poradzić się z na czarniejszą stroną zagadnienia, miało się z jakością naszych wyrobów...

...W latach 1947—48 sprawa włókna białkowego znowu stała się na świecie głośna. Początkowo z racji powojennych trudności surowcowych, braku mleka, najpoważniejsi producenci na świecie zawiesili robotę na kółku. Włosi, ojcowie włókna mlecznego, zamykali fabryki. Zdawało się, że cała początkowo okrzykana sprawa przejdzie do historii jako jeszcze jedna primadonna sezonu. Wielka kariera miała zacząć się jednak znowu, kiedy okazało się, że włókno białkowe stanowi znakomitą mieszaninę z włóknem poliamidowym, a więc nylonem, stylonem itp.

Mniej więcej w tym samym czasie w łódzkich zakładach włókienniczych sytuacja stała się groźna. Produkcja rozwijała się co prawda, ale w magazynach piętrzyły się zapasy — groził brak zbyt. Fabryki przemysłu wełnianego używające kazeiny jako domieszki przestały zamawiać większe ilości „wipolanu”. Przyczyna była znana...

Wipolan posiada cechę, która w praktyce obniża jego wartość. Oto nie znosi on barwienia. Barwiony na kolory niszczące, rozpada się, psując przy okazji tkaninę, z którą jest związany. Włókno nie znosi gorących kąpieli towarzyszących barwieniu i skutkiem tej wrodzonej niechęci używać go można jedynie w naturalnym białym - szarym kolorze. Przemysł wełniany tego właśnie koloru potrzebował stosunkowo niewiele i stąd zakładom groziła „nadprodukcja”.

Wroński patrzy na mnie wesoło uśmiechając się sympatycznie... „Byłem już kierownikiem zakładu, co prawda świeżo po studiach, które konczyłem pracując równolegle w fabryce. Razem z kolegami zaczęliśmy grzebać w literaturze chemicznej szukając jakiegokolwiek śladu, który by naprowadził na rozwiązanie, jakiegoś sposobu, który by naprowadził na rozwiązanie, jakiegoś sposobu, który by naprowadził na rozwiązanie... Wtedy właśnie, kiedy zaczęliśmy szukać, z tego zrozumiałego względu, że Polska jest jedynym producentem włókna kazeinowego... Wreszcie przypadkowo wpadła nam w ręce broszurka radziecka (Dokończenie na str. 2)



Obrady pierwszej międzynarodowej konferencji studentów szkół rolniczych w Sofii toczyły się nie tylko w salach wykładowych i seminarijnych, lecz również w polu. Oto studenci francuscy czynią notatki w czasie wizyty na terenach doświadczalnych Akademii Rolniczej im. Dymitrowa w Sofii.

W imię dalszej demokratyzacji państwa Z życia studentów za granicą

W dniu 25 września Sejm PRL uchwalił ordynację wyborczą do rad narodowych, na podstawie której odbędą się w br. wybory do terenowych organów władzy państwowej.

Jakie są podstawowe zasady nowego prawa wyborczego?

Podstawową zasadą tego prawa jest jego pełny demokratyzm. Ustawa wyborcza, opierając się o podstawowe założenia prawa wyborczego zawarte w Konstytucji i rozwijając jej postanowienia, ustaliła, że wybory do rad narodowych odbywać się będą na zasadach: powszechności, równości i bezpośredniości w drodze tajnego głosowania. Wszyscy obywatele, którzy ukończyli lat 18, posiadają czynne i bierne prawo wyborcze. Ustawa nie zna żadnych ograniczeń praw wyborczych obywateli. Oddając w ręce mas pracujących sprawy przygotowania i przeprowadzenia wyborów, ordynacja zapewnia rzeczywisty, decydujący udział najszerszych rzesz mieszkańców w konstytuowaniu organów władzy państwowej na swoim terenie.

Co te zasady nowego prawa wyborczego do rad wnoszą do dalszej demokratyzacji władzy państwowej w terenie? Czy jest to jakiś dalszy krok w procesie urzeczywistnienia ludowładztwa w naszym kraju?

Aby odpowiedzieć na to pytanie, musimy uprzytomnić sobie, jaki był dotychczasowy system konstytuowania składu rad narodowych. Rady, jak wiadomo, powstały w okresie, kiedy kraj nasz znajdował się pod okupacją hitlerowską. Rady powstały w konspiracji i rzecz jasna nie mogło być mowy o przeprowadzeniu w tym czasie powszechnych wyborów. W myśl Statutu Tymczasowego Rad Narodowych, uchwalonego na I posiedzeniu KRN, rady składały się z członków delegowanych przez „organizacje i zrzeszenia demokratyczno-niepodległościowe”, które brały czynny udział „bądź w bezpośredniej walce z okupantem, bądź też w cywilnej akcji samoobrony i oporu”. Rady miały też prawo kooptowania do swego składu „jednostek szczególnie wartościowych o poglądach demokratycznych”.

Ten system powoływania członków rad narodowych utrzymuje w zasadzie ustawa o radach narodowych z 11 września 1944 r. W okresie, kiedy jeszcze trwała walka o wyzwolenie całości kraju spod okupacji, kiedy na porządku dziennym stały niezwykle palące zagadnienia odbudowy państwowości polskiej na zasadach demokratycznych i zorganizowania od nowa całego systemu gospodarki kraju — taki system powoływania członków rad narodowych był jedynie realnym w tym czasie sposobem konstytuowania składu rad.

Ale to jednak co było najbardziej charakterystyczne dla tego systemu — to nie tylko jego techniczno-organizacyjna przydatność dla okresu bezpośrednio powojennego. I nie to też zdecydowało, że system ten z niewielkimi zmianami obowiązywał stosunkowo długo i obowiązuje w chwili obecnej — aż do czasu przeprowadzenia wyborów.

Ustawa z 11 września postanowiła, że „udział w tworzeniu rad narodowych biorą wszystkie organizacje i zrzeszenia demokratyczno-niepodległościowe, które zgłoszą swoją działalność we właściwych organach Rządu”. A więc nie wszystkie organizacje, działające na terenie kraju miały prawo wysłania swoich delegatów do rad — a tylko legalne organizacje demokratyczno-niepodległościowe. Pozbawione było oczywiście tego prawa całe faszystowskie podziemie i inne reakcyjne organizacje. Ustawa stanowiła również pewne wymogi co do samych delegatów, wysuwanych przez organizacje. Miały to być osoby, które „brały czynny udział w walce zbrojnej z okupantem, bądź w cywilnej akcji samoobrony i oporu... bądź też biorą udział w odbudowie państwowości polskiej”. Nie mogły być natomiast delegatami osoby, obciążone zarzutem udziału w walce bratobójczej z organizacjami demokratyczno-niepodległościowymi... bądź współudziału z okupantem niemieckim”. Tak więc ustawa zamykała drogę do rad elementom profaszystowskim, kontrewolucyjnym — zabezpieczała prawdziwie ludowy, demokratyczny charakter rad. System ten był jednocześnie skuteczną bronią przeciwko usiłowaniu mikołajczykowskiego PSL — tego legalnego przedłużenia reakcji podziemnej — opanowania niektórych ogniw aparatu państwowego dla wygrania ich przeciwko władzy ludowej. Wiemy, że właśnie w odniesieniu do rad narodowych — szczególnie na terenach, gdzie działały terrorystyczne bandy podziemne — groźba ta była realna.

Tak więc system ustanowiony przez ustawę z 11 września 1944 r. stworzyła konkretną sytuację polityczną, realny stan walki klasowej, realne potrzeby tej walki.

Lenin uczył, że „ustawy państwowe w ogóle i ustawa dotycząca prawa wyborczego do instytucji przedstawicielskich, ich kompetencji itp. wyrażają rzeczywisty wzajemny układ sił w walce klasowej”.

Jest rzeczą powszechnie znaną, że w Związku Radzieckim aż do uchwalenia Konstytucji Stalinowskiej w r. 1936 obowiązywał system wyborczy, który pozbawiał praw wyborczych elementy kontrewolucyjne i żyjącą z wyzysku cudzej pracy. Obowiązywał też system wy-

borów pośrednich, z wyjątkiem wyborów do najniższych szczebli rad. System taki zrodził specyficzne warunki niezwykle ostrej walki klasowej, realna siła obalonych, ale nie zlikwidowanych jeszcze ostatecznie elementów kontrewolucyjnych. Pozbawia praw politycznych, w tym również praw wyborczych przedstawicieli obalonego systemu nowa, uchwalona w br. Konstytucja Chińskiej Republiki Ludowej. Zna ograniczenia praw wyborczych Konstytucja Rumuńska z 1952 r. Widzimy więc, że wszędzie tam, gdzie elementy kontrewolucyjne są jeszcze silne, gdzie stanowią one realną groźbę dla samego istnienia ludowodemokratycznego ustroju, staje się rzeczą konieczną pozbawienie na pewien okres czasu wrogie siły praw wyborczych lub w ogóle praw politycznych. Ma to szczególne znaczenie przy wyborach do terenowych organów władzy, gdzie penetracja wroga jest o wiele bardziej groźna. I takie też warunki zrodziły nasz system powoływania członków rad narodowych, zapisany w ustawie z 11. września, której przepisy w tym zakresie obowiązują do chwili obecnej.

Czy oznacza to jednak, że demokratyzacja naszego systemu powoływania rad narodowych dokonała się dopiero w chwili uchwalenia nowej ordynacji wyborczej do rad? Pogląd taki byłby oczywiście niesłuszny. Wprawdzie trudno przecenić znaczenie nowych zasad prawa wyborczego i kampanii wyborczej do rad dla demokratyzacji naszego ustroju, ale elementy tej demokratyzacji narastały przez cały okres istnienia i działalności rad. Następowołało to w miarę umacniania się naszego państwa, w miarę coraz większej aktywizacji politycznej mas naszego narodu, w miarę umacniania się kierowniczej roli w państwie klasy robotniczej i jej partii — PZPR. Po zlikwidowaniu reakcyjnego podziemia i legalnej reakcji — PSL — przestały istnieć i działać w sposób zorganizowany te elementy, przeciwko którym wymierzona były głównie ograniczenia ustawy z 11 września. Coraz silniejsze

skupianie się wokół klasy robotniczej i jej partii szerokiego, ogólnonarodowego frontu walki o pokój i socjalizm powodowało, że rady narodowe coraz pełniej wyrażały interesy całego narodu. Demokratyczne organizacje społeczno-polityczne, które miały prawo wysłania swoich przedstawicieli do rad, reprezentowały coraz pełniej cały naród, coraz bardziej więc wszyscy obywatele poprzez organizacje, do których należeli, wpływali na skład i działalność rad narodowych. Stąd stały proces polepszania się składu socjalnego rad, stąd ciągła poprawa pracy rad narodowych, coraz większa ich troska o podniesienie materialnych i kulturalnych warunków życia mieszkańców swojego terenu.

Ale oczywiście wszystko to nie może zastąpić powszechnych, bezpośrednich wyborów, gdzie każdy obywatel może bezpośrednio wypowiedzieć się co do składu organów władzy swojego terenu i bezpośrednio kontrolować działalność swoich przedstawicieli w radzie. Dlatego też w miarę aktywizacji politycznej szerokiej mas stary system stał się coraz bardziej nieprzydatny. Stało się możliwe i konieczne przejście do nowego systemu — powszechnych, równych i bezpośrednich wyborów do rad narodowych. Takie też zasady prawa wyborczego zapisała Konstytucja Lipcowa. Partia i Rząd postanowiły połączyć pierwsze wybory do rad z reformą podziału administracyjnego wsi, z powołaniem nowych ogniw władzy — rad gromadzkich. Dlatego też dopiero po zakończeniu prac przygotowawczych do powołania gromadzkich rad uchwalona została ustawa wyborcza do rad narodowych, na podstawie której Rada Państwa wyznaczyła wybory na dzień 5 grudnia 1954 r. Pierwsze wybory do rad narodowych razem z powołaniem gromadzkich rad stanowią w sumie potężny krok naprzód w procesie demokratyzacji naszego państwa, w procesie coraz pełniejszego włączania najszerszych mas do udziału w rządzeniu państwem.

ZDZISŁAW JAROSZ



Fragment manifestacji studentów meksykańskich przeciwko terrorowi szalejącemu w Guatemali.

CHINY

Na uniwersytetach i wyższych uczelniach Chin liczba studentów w porównaniu z rokiem 1947 wzrosła o 60%. Wśród studentów I roku znajduje się 30 tys. Chińczyków z zagranicy, którzy powrócili na studia do kraju.

W wyższych szkołach Pekinu studiuje około 50 tys. studentów tzn. o 25% więcej aniżeli w roku ubiegłym. W roku bieżącym zostaną oddane do użytku gmachy uniwersyteckie, domy akademickie itp. o łącznej powierzchni 1.050.000 metrów kwadratowych.

MEKSYK

Sluchacze szkół rolniczych w Meksyku zwrócili się do ministra oświaty z żądaniem położenia kresu anarchii w dziedzinie studiów rolniczych. Domagają się oni od rządu wprowadzenia takiego systemu nauczania, „który by rzeczywiście służył podniesieniu produkcji rolnej w kraju”. Sluchacze chcą osiągnąć przygotowanie do prac nad „uprzedmiotowieniem i mechanizacją rolnictwa”, wykształcić się na technikach rolniczych o nowym podejściu do zawodu i swej pracy społecznej. Młodzież szkół rolniczych żąda, aby umożliwiono jej w przyszłości pracę nad takim rozwojem rolnictwa w Meksyku, ażeby ludność mogła uniknąć konieczności emigracji do Stanów Zjednoczonych w poszukiwaniu pracy. Jest to niezbędny warunek podniesienia gospodarki meksykańskiej — stwierdza młodzież.



Studenti francuscy protestują przeciwko podniesieniu opłat za studia.

*

KOREA

W Phenianie odbudowano i oddano do użytku 12 wyższych uczelni. W roku bieżącym ilość studentów agronomii, architektury, technologii i budowy dróg żelaznych w Korei Północnej wzrosła o 25,7% w porównaniu z rokiem ubiegłym.

FRANCJA

Narodowy Związek Studentów Francji podał do wiadomości, że solidaryzuje się z walką nauczycielstwa francuskiego o podwyżkę płac. W toku tej walki, która jest częścią wielkiej kampanii na rzecz podwyższenia budżetu szkolnictwa, wykładowcy francuscy odmówili na znak protestu przegądu i oceny prac maturalnych.

IRAK

Związek Studentów Iraku — jedyna organizacja studencka w kraju, która reprezentuje większość studentów Iraku, została uznana przez rząd za nielegalną. 50 członków tej organizacji zamknięto w więzieniu. Według nowego prawa o „akcjach wyrotowych”, oskarżeni po odsiedzeniu kary pozbawieni zostaną trzęsienia ziemi 500 dolarów.

ALGER

W odpowiedzi na apel Zrzeszenia Studentów Muzułmańskich z Afryki i Zrzeszenia Studentów Algieru o pomoc dla studentów — ofiar trzęsienia ziemi w Orleansville, Międzynarodowy Związek Studentów — wierny swym tradycjom solidarności międzynarodowej — wysłał paczkę z odzieżą, żywnością oraz książkami. Na apel odpowiadała również SFMD, która przelała ofiarom trzęsienia ziemi 500 dolarów.

CZECHOSŁOWACI

Sześciu studentów hinduskich, którzy przez rok leczyli się w sanatorium MZS dla studentów-gruzlików w Trzebowie, opuściło Pragę.

Dziękując MZS za opiekę, studenci hinduscy oświadczyli: „Opieka jaką nas otaczał MZS podczas naszego pobytu w Czechosłowacji mocno podkreśla międzynarodową przyjaźń studentów. Mamy nadzieję, że bliska przyszłość wzmocni jeszcze bardziej jedność i współpracę międzynarodową we wszystkich dziedzinach działalności studenckiej”.



Ludność Tunisu walczy o szersze prawa do niezawisłości swego kraju. Na zdjęciu: studenci Uniwersytetu Zeitouna podczas strajku zorganizowanego przeciwko uciskowi kolonialnemu.

Prosto od krowy

(Dokończenie ze str. 1)

Kantiera, w której plaże on, że w Związku Radzieckim badano laboratoryjnie możliwość barwienia włókna nie wtedy, gdy stanowi ono gotowy produkt, ale w toku samego procesu produkcyjnego. Była to myśl, która i nas od dawna nurtowała. Wzmianka o badaniach radzieckich natchnęła nas większym jeszcze zapałem.

Młodzi nasi inżynierowie z Wrocławia i Mysłkowicami na czele rozpoczęli wielomiesięczne badania w laboratoriach. Pierwsze próby dały pomyślne rezultaty, choć prowadzono je bez literatury fachowej, która uparcie na ten temat milczała. Trudności mnożyły się. Budowa białka jest przecież niezwykle skomplikowana. Co się dzieje z tym białkiem?... Takie pytanie nurtowało i nurtuje nadal naszych młodych badaczy. Ale prace w laboratorium przyniosły efekty.

— W próbkach wychodzi — wspomina Wrocław. — Ale czy wyjdzie w wielkiej fabryce, w skomplikowanym zespole wielkoprzemysłowym? Przecież tyle już razy okazywało się, że wyniki badań w laboratoriach nie zdają egzaminu kiedy gramy mnoży się na tony...

Baliśmy się tego jak diabeł święconej wody. Przystosowanie naszej metody dla wielkiej produkcji wymagało dodatkowych aparatów i urządzeń. Postanowiliśmy tak sprawę załatwić, aby nakłady nie były wielkie. Wyciągnęliśmy ze szmelcu nielotów maszyny i przystosowaliśmy je do nowych potrzeb. Niemal z niczego, bo ze starych gratów, urządziliśmy naszą wytwórnię...

Nadszedł wielki dzień próby. W całym zakładach było niemałe poruszenie. Wszyscy szepotali sobie na oddziałach... Dziś zaczyna się.

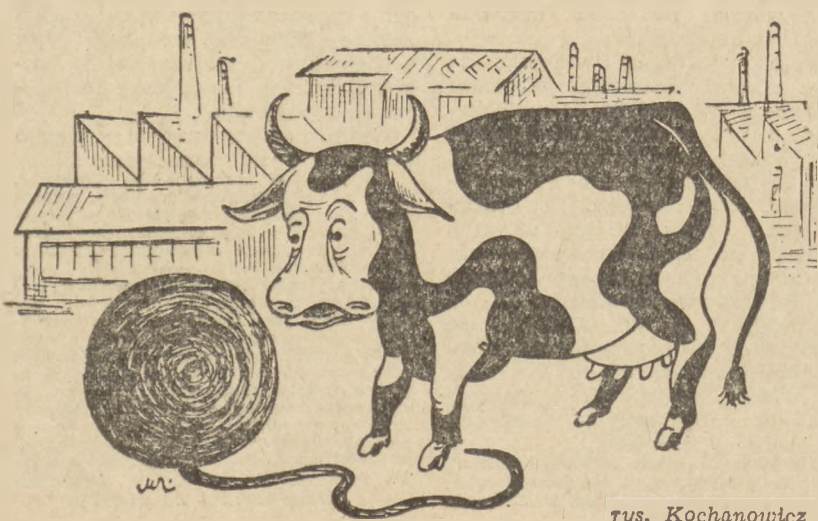
— Mielimy szaloną treść — powiada Wrocław. W tę sprawę zaangażowaliśmy wszystkie nasze ambicje, wszystkie nasze siły. Chodziło już nie tylko o samą produkcję, ale i o nasz honor i sławę

Inżynierska. Wygrana miała nas postawić na poczesnym miejscu wśród inżynierów Polski Ludowej. Przegrana... No i wyszło... Nigdy nie zapomnę jak robotnicy ścisili nas i gratulowali, jak radość ponosiła nas na skrzydłach. Oplacili się lata ślęczenia. Wiedzieliśmy, że potrafimy barwić wipolan bez najmniejszej szkody dla wartości włókna. Wysłaliśmy pierwszą partię włókna do przemysłu włókienniczego i razem z pokwitowaniem odbioru otrzymaliśmy podziękowania i listy pełne uznania. Udało się nam osiągnąć rzecz, która nie tak dawno literatura światowa uważała za przecięć za nieosiągalną...

Wielka wygrana z wielką chemią ma poważny wpływ na losy fabryki. Przewidziana jest jej dalsza rozbudowa, zwiększą się eksport. U źródła leży piękny wysiłek naszych młodych inżynierów, którzy powiedzieli sobie, że nie ma w nauce rzeczy niemożliwych. Wrocławski powiedział: „Coż, sukces nasz zaważać należy w dużej mierze temu, że żyjemy tu w zgodnym, żłytym kolektywie. Kolektyw nasz w praktyce udowadnia, że zły to i słaby inżynier, który poprzestanie na praktyce produkcyjnej, który nie widzi ciągłych możliwości postępu. Wydaje mi się, że podstawowym zadaniem jest przede wszystkim wciąż czytać, wciąż patrzeć czujnie na to co dzieje się w nauce, chociaż fabryka pochłania tyle czasu”.

Zegnałem Wrocławskiego kiedy zagarnął go jacyś majstrowie do hal fabrycznych pachnących mlekiem, z którego robi się cuda — za sprawą naszych dzielnych i młodych inżynierów.

TADEUSZ JACKOWSKI



tys. Kochanowicz

Dwadzieścia kilometrów OD PEKINU



Jeszcze w lutym bieżącego roku mury sanatorium w Pekinie były obleczone siecią rusztowań. Dziś budynek zostanie przekazany do użytku. Reprodukujemy rysunek chińskiego artysty-grafika, przedstawiający kompleks budynków sanatorium pekińskiego.

Sluchanie przemówień od ósmej rano do południa nie jest rozkoszą, zwłaszcza jeśli mówcy posługują się takimi językami, że jest się zdany wyłącznie na łaskę i niełaskę tłumacza. Zdjąłem więc słuchawkę ze zmechniętych uszu (uszy także się męczą!) i wyszedłem na taras gmachu Akademii Wychowania Fizycznego, gdzie obradował III Światowy Kongres Studentów.

Ledwo zdążyłem zatrzymać wzrok na barwnym kiosku „Cepeli”, gdy w sali kongresowej rozległ się grzmot oklasków, tak potężny i długotrwały, że zajął mnie ciekawie do środka. Na trybunie stało trzech chińskich studentów. Jeden z nich rozwijał właśnie rulon czerwonego papieru; oklaski znów się zerwały, nabrzmiewały siłą i dzwoniły o wielkie, podłużne szyby. W chwilę potem wiedziałem już, że oto delegacja chińskich studentów oznajmiła Kongresowi o rozpoczęciu budowy wielkiego sanatorium studenckiego pod Pekinem. Na czerwonym papierze nakreślony był jego szkicowy plan.

Dziś, w przeddzień międzynarodowego święta studentów, budowa sanatorium dobiegła końca. Warto więc opowiedzieć o wyglądzie tego „wspaniałego wkładu w sprawę dobrobytu i zdrowia studentów Azji, dowodu przyjaźni i współpracy między studentami Azji i innych stron świata, najpiękniejszego projektu pomocy studentom” — jak nazwał sanatorium pekiński student z Indii, który zwiedzał teren budowy. Trzeba przy tym pamiętać, że inwestycja jest wspomagana przez związki studenckie całego świata.

Między innymi Niemiecka Republika Demokratyczna dostarczyła dla sanatorium mikroskopy, Międzynarodowy Związek Studentów zapewnił podstawowe wyposażenie medyczne, a organizacje młodzieżowe krajów demokratycznych zebrały kwotę ponad 11.000 dolarów.

WSRÓD MALOWNICZYCH WZGÓRZ

Sanatorium zbudowane jest między Zachodnimi Wzgórzami, dwadzieścia kilometrów od Pekinu, w okolicy bardzo malowniczej i zdrowej klimatycznie. Od północy otwiera się widok na piękne lasy, ciągnące się aż po krańce horyzontu. Gdy się patrzy na południowy wschód, można dostrzec majaczące w dali zabudowania dzielnicy uniwersyteckiej Pekinu, z którą łączy sanatorium asfaltowa droga, ocieniona starymi drzewami.

Budynki — w myśl propozycji gospodarzy — utrzymane są w chińskim stylu pawilonowym. Całe sanatorium zajmuje powierzchnię 76.000 metrów kwadratowych, z tego budynki — 14.000 m kw. W trzech pawilonach leczyc się będzie mogło 300 studentów zagrożonych gruźlicą. Rzeczą oczywistą jest pełne wyposażenie gabinetów zabiegowych w aparaty rentgenowskie, encefalografy, przyrządy do fizjoterapii i urządzenia laboratoryjne. Do operacji przygotowano trzy sale specjalistyczne, w których dokonywać się będzie terakoplastykę i zabiegi ortopedyczne.

Rozrywki znajdą pacjenci sanatorium w kinie, świetlicy, bibliotece i urządzeniach sportowych.

DZIEŁO MŁODYCH

Projekt sanatorium wykonany został przez młodych inżynierów i architektów chińskich, którym nie skąpił rad profesorowie architektury oraz medycyny Uniwersytetu Pekńskiego. Niebędne dla sanatorium wymagania medycyny połączone szczególnie z wymogami estetyki i piękna urbanistycznego.

Pokoje chorych, każdy o powierzchni 15 m kw., pełne są powietrza i światła, gdyż sąsiadują z obszernymi balkonami. Od północnego zachodu biegnie wzdłuż zabudowań sanatoryjnych taras, z którego rozciąga się widoki na najpiękniejsze partie krajobrazu Zachodnich Wzgórz. Budynki otoczone są ogrodami, gdzie ciszę i spokój przerywa tylko szmer licznych fontann.

W sanatorium leczone będą niezaawansowane przypadki gruźlicy płuc. Pod czujną i stałą opieką chińskich lekarzy chorzy odpoczną i odzyskają zdrowie. Studenci przyjmowani będą do sanatorium za pośrednictwem krajowych związków studenckich lub komitetów pomocy studentom.

Przebiegiem budowy interesowali się oczywiście studenci całego świata. Ostatnio zwiedziły sanatorium delegacje młodzieży studenckiej Japonii, Indonezji, Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej, Wietnamskiej Republiki Demokratycznej, Malajów, Brazylii i Ekwadoru.

Otwarcie sanatorium jest więc niewątpliwie jednym z ważniejszych wydarzeń w życiu studentów całego świata,

—pi—

Pomóc w trudnej walce

Gdy na WSE w Szczecinie pytamy kogoś o pracę, jakiegoś studenta, jakiegoś naukowca, jego zdaniem, najlepiej pracuje — po dłuższej chwili otrzymamy odpowiedź, że są dwa takie kółka: Koło Naukowe Ekonomiki Transportu Drogowego i Koło Naukowe Marksizmu - Leninizmu. A inne? Inne, owszem, też pracują, nawet poważnie wzmogły swą aktywność w tym roku akademickim, ale wspomnianym wyżej — jeszcze nie dorównują. Pracy jednego z tych kół, Koła Naukowego Marksizmu chcę poświęcić moją wypowiedź w dyskusji „Formułka czy światopogląd”.

W pracy tego koła jest wiele jasnych momentów, posiada ono wiele osiągnięć, które wskazują na rolę, jaką spełnia Koło Naukowe Marksizmu - Leninizmu w procesie wdrażania studentów do twórczego studiowania nauki marksistowsko-leninowskiej, w procesie kształtowania ich naukowego światopoglądu.

RYS HISTORYCZNY...

Myśl założenia koła naukowego powstała w roku 1950, a inicjatorem jej był kier. Katedry Marksizmu - Leninizmu na WSE prof. Mieczysław Gordon. Inicjatywa założenia koła podjęta została istotną potrzebą stworzenia w grupie aktywnego skupienia wokół katedry, możliwości dokształcania się, głębszego poznania materializmu dialektycznego i historycznego, pokierowania w sposób planowy toczącymi się wśród studentów dyskusjami na tematy światopoglądowe. Koło zaczęło swą pracę od przygotowywania referatów o tematyce mogącej przyczynić się do pogłębienia wiadomości zdobytych w czasie wykładów i ćwiczeń, a następnie wspólnego przedyskutowania ich na zebraniach.

Fierwszy etap pracy koła był wyjątkowo nastawiony na działalność organizacyjną. Koło skupiało niewielką grupę studentów — przeważnie asystentów katedry, ludzi, którzy z całym zamiłowaniem oddawali się dyskusjom chcąc w ten sposób wzbogacić swoją wiedzę, często znalazł odpowiedź na nurtujące ich wątpliwości. Atmosfera życzliwej pomocy w przełamyaniu trudności, wyjaśnieniu rzeczy wątpliwych i niezrozumiałych pozwoliła wyrosnąć szeregu aktywistów koła. Z nich w przeważającej mierze rekrutowała się dziś młoda kadra naukowa Katedry Marksizmu WSE a także Katedry na PAM, SI i WSR. Wystarczy wspomnieć, że w pracy tej wyrosli tacy ludzie jak: prof. Jan Jabłoński — obecny kier. Katedry na PAM, st. asystent i bardzo dobrze zapowiadający się wykładowca Marek Drozdowski, st. asystent Zdzisław Łaski, Stanisław Klukowski i wielu innych.

PRACA WSZERZ I W GŁĘB...

„Wiele zawdzięczam pracy w kole naukowym — mówi mi Marek Drozdowski. — Pamiętam, ile się nauczyłem nad przygotowaniem pierwszego samodzielnego referatu, na temat wkładu tow. Stalina do rozwoju materializmu dialektycznego i historycznego. Kosztował on mnie dużo trudu, ale potem zasmakowałem w samodzielnej pracy. Działalność w kole naukowym przygotowała mnie do trudnej i odpowiedzialnej pracy asystenta. Dziś z perspektywy czasu mogę najlepiej ocenić, jak nasze dyskusje i referaty pomogły mi w ugruntowaniu zdobytych wiadomości, poszerzeniu horyzontu myślowego, swobodnym wypowiadaniu swoich własnych myśli”.

Kolega Drozdowski nie lubi o sobie dużo mówić. Dlatego też musimy dodać, że jest jednym z najlepszych asystentów marksizmu, cieszącym się dużym autorytetem zarówno u studentów SI, jak i WSE. W bieżącym roku prowadzi on już samodzielne wykłady, o których studenci wyrażają się w samych superlatywach; są przekonujące, zrozumiałe, a przede wszystkim ciekawe.

W rok później Koło Naukowe Marksizmu - Leninizmu przekształciło się w Międzyuczelniane Koło Naukowe, przy czym na każdej z trzech uczelni powstały osobne sekcje. Był to drugi etap działalności pracy koła nastawiony na „pracę wszę”.

Ciekawe referaty prof. Gordona i asystentów przyciągały na zebrania dużą ilość studentek i studentów. Na jednym z otwartych zebrań koła z referatem prof. Gordona pt.: „Czy elektrony mają wolną wolę?” (krytyka energetyzmu i innych odmian idealizmu fizycznego) — sala nie mogła pomieścić wszystkich osób. Temat ten zainteresował szczególnie studentów SI. Odtąd „praca wszę” stała się hasłem koła naukowego, realizowanym na codzień. Aktywiści koła wygłaszali przez radiowęzeł osiedla samodzielnie opracowane referaty dotyczące niektórych wybranych zagadnień z historii ruchu robotniczego. Sekcje Międzyuczelniane Koła na każdej uczelni organizowały we własnym zakresie odczyty przygotowane przez asystentów i studentów na wybrane przez członków koła tematy.

Jednocześnie w parze z „pracą wszę” szła praca „w głąb”. Nie poprzestano na opracowywaniu referatów i odczytów mających poszerzyć wiadomości studentów zdobyte na wykładach, czy ćwicze-

FORMUŁKI CZY ŚWIATOPOGLĄD⁽⁶⁾

niach. Młodzież żądała czegoś więcej: faktów z dziedziny fizyki, chemii, biologii, nauki o człowieku, na podstawie których mogłaby się przekonać o słuszności nauki marksistowskiej, o potwierdzeniu jej w innych naukach ścisłych. Dlatego coraz częściej na zebraniach sekcji wygłaszano referaty omawiające zagadnienia przyrodniczo-fizyczne, fizyki itp. itp. Praca nad tymi tematami wymagała większej znajomości literatury i to dotyczącej nie tylko samych zagadnień czysto filozoficznych, ale także niektórych wybranych zagadnień z nauk ścisłych.

Trudno jest uchwycić i pokazać te wszystkie zmiany, jakie się dokonywały u studentów pod wpływem pracy w kole naukowym. Nie są to sprawy ani wymierne, ani też łatwe do zanotowania w formie cyfr, czy zdecydowanych stwierdzeń i pewników. Nie podlega natomiast dyskusji to, że wpływ ten istniał.

O tych przemianach świadczyły nowe zastępy aktywu, który wyrósł w pracy koła naukowego. Taki np. Staszek Derbis — obecnie słuchacz kursu magisterskiego UW, znany i ceniony aktywista zetepowski, były przewodniczący ZU ZMP na WSE, swoje wiadomości, zdecydowanie o kierunku obranego zawodu — zawdzięczał niewątpliwie między innymi i pracy w kole naukowym. Ona to rozbudziła w nim zamiłowanie do twórczej, naukowej działalności. Takich jak Staszek Derbis było wielu. Wystarczy tylko chwilę się zastanowić a już stają przed oczyma: Zygmunt Wyluppek — obecnie słuchacz studium magisterskiego na UW, Irmina Jasnińska, Czesław Witczak... Wiele z nich stanowi dziś młodą kadra naukową, jak np. kol. Eugeniusz Patałan, st. asystent na WSE; inni są czołowymi aktywistami partyjnymi i zetepowskimi z oddaniem pracującymi na uczelniach. Przecież tow. Zdzisław Łaski i sekretarz KU PZPR przy PAM właśnie w kole zdobywał doświadczenie i wiedzę potrzebną mu obecnie jako asystentowi i jednocześnie kierownikowi życia politycznego na uczelni. Ludzie, o których piszę, wyrósłi rzec jasna nie tylko dzięki wpływowi, jaki miała na nich praca w kole naukowym, ale często była ona tym decydującym czynnikiem w ich rozwoju.

AMBITNE PLANY...

Dziś można mówić o trzecim etapie pracy Koła Naukowego, a właściwie Kół Naukowych Marksizmu - Leninizmu na uczelniach. Etap ten rozpoczął się z początkiem roku akademickiego 53/54, kiedy to na wszystkich trzech uczelniach powstały samodzielne Katedry Marksizmu - Leninizmu. Zaisnala wówczas konieczność przekształcenia Międzyuczelnianego Koła Naukowego na uczelniane. Wymagała tego specyfika każdej uczelni, konieczność szerszego jeszcze niż dotychczas oddziaływania katedr na wychowanie uczącej się młodzieży. Na tym etapie możemy mówić o pewnym kryzysie w pracy kół naukowych, szczególnie w PAM i SI, gdzie zabrakło aktywu do jej poprowadzenia. Zdecydowały o tym w poważnej mierze zmiany organizacyjne, brak doświadczenia, konieczność dostosowania swej pracy do profilu uczelni. Najprędzej otrząsnęło się z tego zastój koła naukowe na WSE. Zdecydowała o tym długoletnia tradycja dobrej pracy, no i oczywiście sami ludzie. Już w ubiegłym roku koło osiągnęło bardzo poważne sukcesy w przygotowaniu II konferencji teoretycznej całej uczelni. Do tej pracy kierownictwo koła skupiło dużą ilość studentów, umiejętnie rozdziając im zadania. Przy pomocy katedry członkowie koła opracowali samodzielnie temat: „Ideologiczna strona walki o umocnienie socjalistycznej własności”. I znów w trakcie tej pracy wyrastali nowi ludzie, tacy jak Wojciech Polaczek, Edmund Olczak, Wilhelm Gudelis czy Eugeniusz Daszkowski — ludzie stanowiący dziś najmłodszą kadra naukowców.

Z początkiem nowego roku akademickiego koła naukowe rozpoczęły swą pracę. W oparciu o doświadczenia lat ubiegłych, w oparciu o wnioski wysuwane przez młodzież zmieniła się treść i formy ich działalności. Na nową drogę najwcześniej weszło Koło Naukowe Marksizmu - Leninizmu na WSE. Przyczyniło się do tego ostatnie zebranie w roku akademickim 53/54, na którym mgr Pohoryles wygłosił niezmiennie ciekawy odczyt na temat: „Rewolucyjne tradycje Pomorza Zachodniego w latach 1918 do 1921”. Na zebraniu tym, które odbyło się z udziałem niemieckich działaczy robotniczych, członkowie koła dowiedzieli się, że w Szczecinie istniała w owych latach Republika Rad. W dyskusji padło wtedy szereg wniosków, a m. in. by koło naukowe zajęło się zbadaaniem udziału rewolucjonistów-Eleków w tych wielkich dniach Szczecina. Wniosek ten został przyjęty i koło przy pomocy katedry opracowało ambitny plan pracy naukowej zmierzającej do wyciągnięcia z mroków historii jeszcze jednej chlubnej karty walk klasy robotniczej.

Obecnie plan ten wprowadzany jest w życie. Część członków koła

naukowego udała się na poszukiwania do szczecińskiego archiwum, część tłumaczyć będzie dostarczone przez kolegów stare akta i dokumenty, przygotowując materiał do ostatecznego opracowania w formie specjalnego Biuletynu Koła Naukowego. Praca to żmudna, ale jednocześnie bardzo ciekawa. Wiele uwagi poświęca jej kol. kol. Siara, Gilner, Różalski — nowi, wyrosli już w tym roku aktywiści koła naukowego. Nad całością czuwa kol. Marek Drozdowski, służąc swym młodszym kolegom radą i pomocą.

Ale to jest tylko część pracy koła i nie wszyscy członkowie skupili się wokół niej. Byli tacy, którzy te sprawy mniej interesowały. Ci w dalszym ciągu zajmują się przygotowywaniem ciekawych referatów i urządzaniem wspólnych dyskusji. Ostatnio np. odbyło się b. ciekawe zebranie z referatem kol. Gilnera pt.: „Zagadnienie miłości w etyce marksistowskiej”. Zebranie cieszyło się b. dobrą frekwencją i zakończyło się po bardzo burzliwej i długiej dyskusji. Wynikło z niej, że nawet wielu ludzi politycznie i społecznie wyrobionych miało dotychczas dość nieskrystalizowane pojęcie o istocie miłości w ujęciu etyki marksistowskiej. Wspólna dyskusja pozwoliła wyjaśnić wiele rzeczy niezrozumiałych, opacznie pojętych. Koło ma zamiar w przyszłości w dalszym ciągu omawiać niektóre zagadnienia z etyki i estetyki marksistowskiej, gdyż sprawy te bardzo interesują młodzież.

Czy zorganizowana w ten sposób praca w kole pomaga studentom? Bezwątpienia tak. Świadczą o tym cytowane już przeze mnie poprzednie przykłady. Może najlepiej powiedzieć o tym kol. Machnicka. Kiedy rozpoczęła studia na WSE, nie miała skryształowanego światopoglądu. Toczyła ze sobą walkę, skłaniała się raz w jedną, raz w drugą stronę. Dopiero gdy w kole naukowym zaczęła pełniej czerpać wiadomości z dzieł klasyków marksizmu, gdy w czasie dyskusji starsi koledzy wyjaśnili jej wiele niejasności, czy udowodnili na przykładach szereg twierdzeń i prawd — wtedy dopiero zaczęła inaczej patrzeć na otaczający ją świat i lepiej go rozumieć.

Doświadczenia Koła Naukowego Marksizmu - Leninizmu na WSE i jego zasługi w wychowaniu nowych, światłych ludzi są bardzo duże. Istnieją jednak błędy w pracy koła. Nie każdy członek koła ma określone zadanie, za mały jest kontakt koła z innymi kołami naukowymi na uczelni, brak ciekawych wycieczek, niedostatecznie wykorzystano jeszcze film, sztukę, literaturę piękną. Ale są chęci i zapal, by stale iść naprzód, pomagać ludziom w ciężkiej i trudnej walce o ukształtowanie naukowego światopoglądu.

Przed aktywistami koła stoi obecnie odpowiedzialne zadanie przygotowania w kwietniu I sesji naukowej poświęconej omówieniu dorobku naukowego koła w badaniu rewolucyjnych tradycji Pomorza Zachodniego.

KRZYSZTOF GAERTIG
Student WSE — Szczecin



W salach PWSP w Warszawie zebrało się kilkuset studentów polskich i ich zagranicznych kolegów, studiujących w Polsce na wieczornicy, zorganizowanej z okazji Międzynarodowego Dnia Młodzieży, który inauguruje Międzynarodowy Tydzień Studenta. Zabawa udała się doskonale. Jeśli nie wierzyćcie nam „na słowo”, popatrzcie tylko na zamieszczony powyżej „dowód rzeczowy”: uśmiech na twarzy He Jen-An, która przed rokiem przyjechała z Phenianu i studiuje obecnie na SGGW, oddaje w pełni nastrój tego międzynarodowego spotkania.

Na właściwym torze

(Dokończenie ze str. 1)

podstawą do wydania mu opinii z etykiety „wróg klasowy” lub łagodniejszej: „miał wrogię wypowiedzi”. Dlaczego niektórzy aktywiści postępują w ten sposób? Ponieważ po-

siadają za mało wiedzy, by znaleźć odpowiednie, naukowe argumenty na wyjaśnienie studentom tej czy innej kwestii.

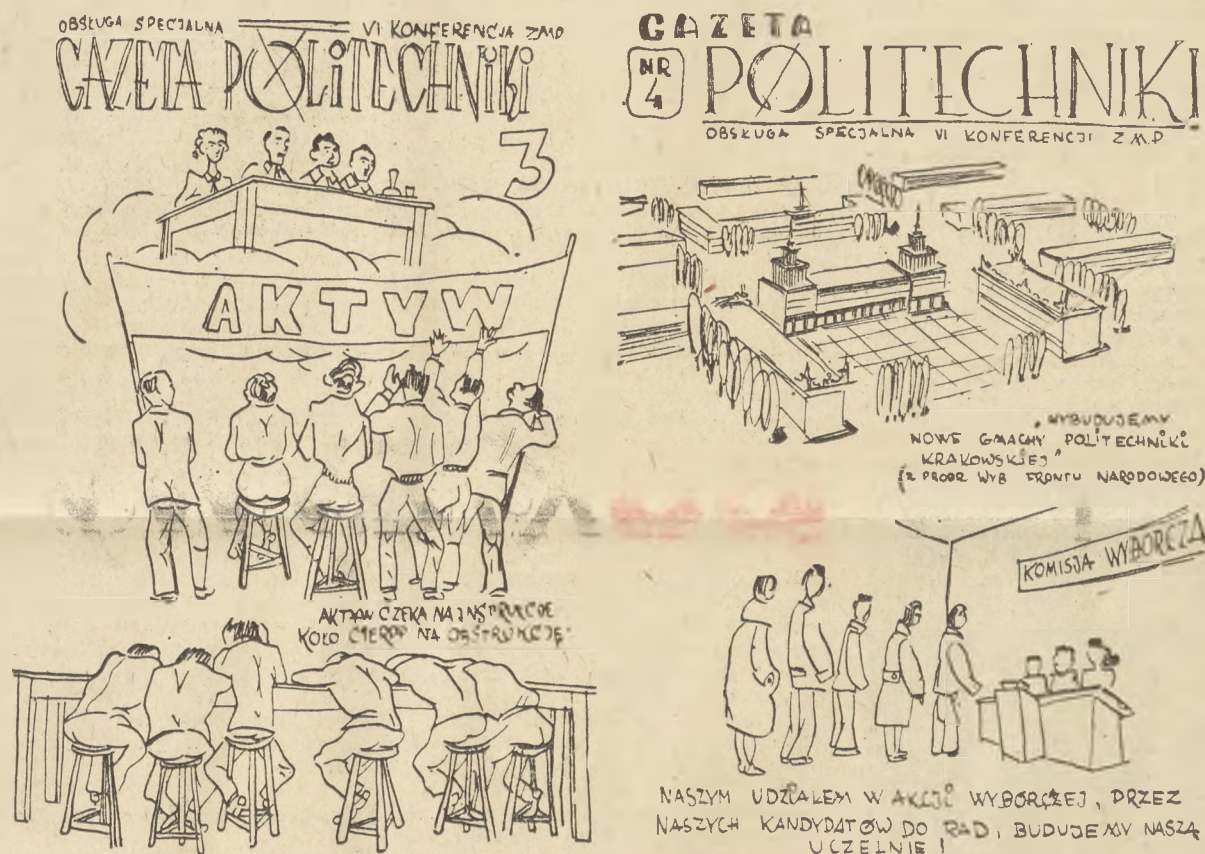
Zastanawiając się nad sprawą nudy w organizacji tow. Wolek stwierdził, że tu nie chodzi o „aniec czy śpiew, które to formy usiłuje się stosować jako „odczynnik”. Trzeba umieć dostrzec i podchwycić najbardziej palące problemy, którymi żyje młodzież. Młodzież lubi dyskusje, dyskusje żarliwe i gorące. U nas porusza się wiele istotnych zagadnień ale dopiero wtedy, kiedy już dojrzeją i przybiorą rozmiary klęski. Dlatego dajemy częściej karę niż radę. Trzeba zabierać to, co dopiero kilkuletni, trzeba żyć z młodzieżą na codzień.

Organizacja ZMP przy AGH posiada bardzo wiele ciekawych i nowych form działalności. Warto spopularyzować np. ścisłą współpracę z naukowcami uczelni, którzy przychodzą na zebrania zarządu i dzielą się swymi spostrzeżeniami i wnioskami w sprawie pełniejszego wychowania studenta. O pracy organizacji może świadczyć fakt, że w przeciągu jednego zalewów, ostatniego roku potrafiła przygotować do partii 115 swych członków.

Zarówno referat jak i cała dyskusja nie miały charakteru sprawozdawczego tak charakterystycznego dla tego rodzaju zebrań. Tu nikt się nie chwalił, lecz prawie każdy z zabierających głos mówił z serdeczną troską o sprawach swojej własnej organizacji.

Konferencja na AGH trwała 10 godzin — dziwne, ale możecie mi wierzyć, że jej uczestnicy nawet przez chwilę nie nudzili się, nie wyłączając zmeżonego podróżą autora tego artykułu.

TADEUSZ JASZCZYK



Podczas obrad VI konferencji Uczelnianej ZMP Politechniki Krakowskiej ukazywały się specjalne wydania uczelnianej „Gazety Politechniki”. Powyżej reprodukowujemy dwa numery tych wydań.

Prof. dr JAN ZYGMUNT JAKUBOWSKI

Umilowanie zawodu rodzi się z konkretnych zadań

Zaproszony do wzięcia udziału w dyskusji toczącej się od wielu tygodni w POPROSTU na temat potrzeby budzenia zamiłowania do przyszłego zawodu, nie chcę powtarzać wielu oczywistych stwierdzeń, jakie padły już w różnych artykułach. Pragnę natomiast podpisać się pod piękną wypowiedź redakcyjną w nr 29 br., w której czytałem: „Głównym zadaniem naszych wyższych uczelni jest wychowanie dla naszej gospodarki i kultury narodowej kadry specjalistów najwyższej jakości, ludzi o żarliwych sercach, ludzi gorąco kochających swą pracę, wkładających w nią całą swoją zapal i entuzjazm młodzieży. Tylko tacy specjaliści potrafią bowiem wykonać cały ogrom stojących przed nami zadań”. I dalej: „Student, który naprawdę pokocha swój kierunek studiów i przyszły zawód, zobaczy perspektywę swej pracy i swoją rolę w społeczeństwie. Bez wątplenia wpłynie to na wyniki jego nauki, praca stanie się dla niego źródłem siły i radości”.

To słuszne. Każdy powinien w ciągu studiów uświadomić sobie najgłębiej, że umiłowana przezeń nauka jest potrzebna społeczeństwu, że jego praca zawodowa stanie się niezbędną częścią olbrzymiego wysiłku narodu budującego socjalistyczną ojczyznę. To na pewno mobilizuje do sumiennej, wytrwałej nauki.

Czy jednak studenci, nawet ci najbardziej roześmiani w obranym przedmiocie studiów, widzą trafnie perspektywę przyszłej pracy zawodowej, szczególnie wówczas, gdy owe perspektywy są dość różnorodne?

Sięgnijmy po przykłady. Chodzi tu o liczne rzesze absolwentów uniwersyteckich, którzy poświęcają się zawodowi nauczycielskiemu. Czy absolwenci polonistyki, rusycystyki, historii, matematyki, biologii, geografii widzą jasno perspektywę swojego zawodu i swoją rolę w społeczeństwie? Czy zawód nauczycielski jest wśród nich popularny?

Odpowiedź najpierw na to drugie pytanie. Praktyka komisji przydziału pracy — odwołuje się do przykładów znanych mi z polonistyki — świadczy, jak dotychczas, o wielu wypadkach wyraźnej ucieczki od zawodu nauczycielskiego. Absolwenci szukają pracy przede wszystkim w wydawnictwach, instytucjach naukowych, w radio, czasopiśmie, niechętnie myślą o pracy nauczycielskiej. W wielu, w zbyt wielu wypadkach, zawód nauczycielski jest podejmowany niechętnie, jako konieczność, gdy zawiadają inne możliwości. To fakty, których nie należy przemilczać.

Czemu się tak dzieje? Miłośnicy do zawodu nauczycielskiego, tak długo w naszym kraju lekceważonego w praktyce, nie wzbudzimy dekretem. Nie wystarczy tu również najbardziej płomienne przemówienia o pięknie i godności zawodu w stylu abstrakcyjnych wywodów o „duży nauczycielstwa”. Trzeba — i to jest ważne zadanie pracowników naukowych — ukazywać w każdej dyscyplinie konkretne, twórcze perspektywy, jakie zawód nauczycielski posiada w Polsce Ludowej.

W naszym ustroju pozycja społeczna nauczyciela ulega zasadniczej zmianie. Stał się on świadomym współtwórcą kultury narodowej, szczytów intelektualnej wiedzy. W społeczeństwie socjalistycznym

budującym swoje życie w oparciu o prawa nauki wzrasta i wzrastać będzie rola i znaczenie nauczyciela. Przewidyujemy również tradycyjne upodlenie materialne nauczyciela. Świadectwem czujnej troski władzy ludowej o warunki pracy i życia nauczyciela jest w br. uchwała KC PZPR i Rządu w sprawie uposażenia nauczycieli, uchwała wyrażająca poparcie dla poziomu ich stopy życiowej.

Co jednak w wielu wypadkach odsuwa naszych najzdolniejszych absolwentów od pracy nauczycielskiej? Oto lęk, że gdy zostaną nauczycielami na prowincji, wówczas zerwą się ich bezpośrednie związki z pracą naukową. Nasi absolwenci nie powinni, odchodząc z uczelni, zęgnąć się z nadzieją działalności naukowej. Jest rzeczą niezmierznie ważną dla przyszłości naszej kultury, kultury istotnie powszechnej, socjalistycznej, abyśmy wykształcili nauczycieli pracujących naukowo, nawet w prowincjonalnych ośrodkach, nawet w pomocniczym zakresie.

Te perspektywy i zadania istnieją. Powinniśmy je w ciągu studiów ukazywać w sposób najbardziej konkretny. Jakże np. uboga jest jeszcze nasza wiedza o życiu, obyczajach i kulturze różnych stron naszej ojczyzny! I jakże wiele może tu zdziałać nauczyciel — np. historyk, badacz literatury i języka, geograf — który ze swoją działalnością oświatową połączy ambicje badawcze!

Oczywiście, potrzebne są tu zabiegi organizacyjne, aby utrzymać więź między absolwentem a macierzystą uczelnią, lub stworzyć możliwość związków z uczelnią najbliższą miejscu pracy absolwenta. Ważne są również możliwości pu-

blikowania. W społeczeństwie socjalistycznym przekreślamy przedział, rysujący się tak jaskrawo w ustroju burżuazyjnym, między naukowcem a praktykiem, między twórcą naukowym a tymi, którzy szeregają, przekazują i popularyzują naukę. Te właśnie perspektywy winny widzieć każdy student w konkretnych zadaniach swojego przyszłego zawodu. Każdy, to znaczy i ten, kto od razu po studiach wiąże się z określoną placówką badawczo-naukową, jak i ten, kto zostaje nauczycielem, często daleko od środowiska uniwersyteckiego.

*

Podnosi się z wielowiekowego zaniechania polska prowincja. Jej symbolem był do niedawna Obrzydówek, znany nam wszystkim z „Siłaczki” Żeromskiego, Obrzydówek, który złamał oświatowe i naukowe ambicje Stasi Bzowskiej i Piotra Obareckiego. Ten Obrzydówek straszny niekiedy i dziś jeszcze i odstrasza naszych absolwentów.

Alle siła Obrzydówka naprawdę została złamana. Istnieją natomiast szerokie polacie naszej pięknej ojczyzny, gdzie bardzo potrzebni są pracownicy, którzy połączą rzetelną działalność oświatową z najsłachetniejszymi ambicjami naukowymi, którzy podejmą różnorakie badania nad przeszłością, teraźniejszością i przyszłością swoich okolic. I kiedy mówimy o kształtowaniu zamiłowania do zawodu jako dźwigni rzetelnego wysiłku w czasie studiów i przezycięcia pływającego szolarkstwa, to powinniśmy podjąć walkę o wytworzenie nowego typu nauczyciela, nauczyciela i zarazem pracownika naukowego.

Z za siedmiu rzek

Za siedmioma rzekami, za siedmioma górami, w wykutych w skałę grotach...

Tak mniej więcej planowałam sobie początek tej opowieści, kiedy wyjeżdżając do Korei marzyłam o zwiedzeniu uniwersytetu w grotach... Dzięki łańcuch górski w odludnym miejscu, na piętrach tarasach wykute w skałę wejścia. Coś niby klasztor tybetański zamieszkały przez uczonych starców o srebrnych brodach i młodych zapalonych czeladników wiedzy, studiujących grube księgi w pustelnich grotach. Z odległości 12 tysięcy kilometrów tak mniej więcej wyobrażałam sobie Uniwersytet im. Kim Ir Sena na podstawie notatek i reportaży w prasie światowej. Dziennikarz lubi niezwykłość. Ten zaś temat: klasztorna cisza osobowości świątyni nauki w kraju wstrząsanym wybuchami, zalany napalnym pobudzą wyobraźnię, nasuwał możliwość niecodziennych porównań i egzotycznych malarskich obrazów. Niejeden niezwykły koreański miesiać minął zanim przystąpiłam do realizacji tego zamierzenia. Była wiosna bieżącego roku, pierwsza wiosna koreańskiego rozejmu. W tym czasie uniwersytet rozpoczął przeprowadzkę do dawnej, pokojowej siedziby — Phenianu. Trzy wydziały już pracowały w stolicy, reszta kontynuowała naukę w Czasan. Nie miałam specjalnej ochoty tracić dnia na zapoznanie się z owymi trzema pheniańskimi wydziałami. Zwyczajny gmach wznosił się na wzgórzu. Ot, uczelnia, jak uczelnia. Dziesiątki razy przejeżdżałam obok nie zwracając na nią specjalnej uwagi. Nie wypadło jednak odmówić gospodarzom, pragnącym pokazać zagranicznemu dziennikarzowi przede wszystkim pokojowe osiągnięcia swego kraju. Na podwórzu przed gmachem studenci grali w siatkę. Wszędzie wznosiły się zachłapane wapnem rusztowania, leżały sterty gruzu, taczki i wiadra, zmuszające do podnoszenia nóg równie wysoko, jak na przeciętnej polskiej uczelni okresu odbudowy.

Pierwszy krok młodzieżowego dziennikarza — Komitet Związku Młodzieży. Mała, ciemna izdebka, drewniana przycha, prosty stół obity papierem.

Zaraz skończył się wykład, przyszedł do dziekana — tłumacza

się niepotrzebnie gospodarze zażenowani ubóstwem tego pomieszczenia.

Pierwsze, jak zwykłe chropawe słowa wstępnej rozmowy. Szmer za plecami: Dziekan. Odwracam się i...

— Zdrastujcie towarzysze kapitan! — wołał uradowana. Stoi przede mną stary znajomy z okresu pierwszych miesięcy rozejmowych. Niejeden raz spotykaliśmy się w pracy — on jako tłumacz Wojskowej Komisji Rozejmowej, ja jako tłumacz Komisji Nadzorczej Państw Neutralnych. Kpt. Li, absolwent wydziału prawa uniwersytetu moskiewskiego, uchodził za jednego z najbardziej zdolnych i zdecydowanych najprzystojniejszych pracowników WKR. Nazywaliśmy go powszechnie „ładny kapitan”. Teraz „ładny kapitan” wygląda jeszcze przystojniej w wytwornym ciemnym garniturze.

— Wy użę żurnalist? — dziwi się.

— Wy użę diekan? — dziwi się i ja.

— Tępier że samoje gławnoje mirnoje wosstanowienie — tłumaczy swoje przeniesienie na uniwersytet.

— Patomu i pisat' a niom nada — uzupełnia.

Więcej mi daje to zaskakujące spotkanie dla zrozumienia wagi kształcenia kadr koreańskich niż dziesięć stron teoretycznego referatu.

Pajdomtie — przepuszcza mnie przedem kapitan-diekan. Zajrzymy do sal wykładowych. W korytarzu pachnie świeżym drzewem i wilgotnymi murami. Przez drzwi dobiega podobna na całym świecie melodia wykładu. Długi pokój okolony ramą drewnianych przycz. W środku obok małej przenośnej tablicy wykładawca. Na przyczach słuchacze. Siedzą ze skrzyżowanymi nogami jak posążki Buddy, trzymając przed sobą mały stolczyk, jakiegoś nasze babki używały w charakterze podnóżka. Ten stolczyk służy im jako pulpitu i biurko. Wykład. Spokojnie skrzypią pióra. Nalotu nie będzie. Zwyczajny dzień pheniańskiego uniwersytetu.

Żywa historia

Są ludzie, którym od razu przy poznaniu ma się ochotę powiedzieć coś serdecznego. Do nich należy profesor Pak Pal-Jan. Oto wchodzi do gabinetu rektora otoczony wiankiem studenckich twarzy. W wielkim nieurządzonym jeszcze pokoju wydaje

się jeszcze mniejszy i chudszy niż w rzeczywistości. Obfita wiecha włosów zdążyła dawno pobieleć, ale nie ustakować się, twarda i siwa sterczy niepozważnie na wszystkie strony. Zza pleców mój tłumacz — wszechwiedzący Li — informuje mnie przenikliwym szeptem:

— To czcigodny starzec, „abaj”. A twarz profesora (spójrzcie na zdjęcie!) wygląda niemal równie młodo jak twarz jego uczniów. Zdawać by się mogło, że posiłki tylko przedwcześnie na skutek jakichś niefatywych przeżyć.

— To wielki poeta koreański, czołowy publicysta — szepce głosem pełnym szacunku Li. A profesor ma ręce jak stolarz — poplamione i sekaty. Mnie je teraz i ugniata przed sobą jak uczniowską czapkę.

— To żywa historia naszego uniwersytetu — przedstawia go rektor, a krótki błysk ukryty pod powiekami zdradza, że poeta i publicysta jest bardzo dumny z tej nazwy.

— Kapsida! — mówi profesor i oto mimo protestów stoimy na drewnianym ganku parterowego domu na przedmieściu. Jest to po prostu restauracja.

— Nie można być w Korei i nie zjeść obiadu w prawdziwej koreańskiej restauracji — orzekł profesor Pak.

Na ganeczku wyciągniętym szeregiem stoją buty. Po chwili szereg wydłuża się o naszych kilkanaście par. Do koreańskiej restauracji wchodzi się w skarpetkach. Rozsuwają się drzwi i oto jesteśmy w jednej z sal restauracyjnych. Średniej wielkości pokój. Podłoga i ściany wylepione białym papierem. Pokój jest zupełnie pusty. Po chwili przez szparę w drzwiach gospodarz podaje stertę poduszek. Można więc zająć miejsca.

Siedzimy pod ścianami skrzyżowanymi nogami na poduszkach. Od podłogi bije przyjemne ciepło. Koreański system ogrzewania polega na paleniu (najczęściej słoma) w kanałach przekopanych pod układaną z kamiennych płyt posadzką. Podłoga niekiedy ludzkim butem jest naprawdę bardzo czysta, ale chyba nie z niej będziemy jedli? Uwaga! Drzwi rozsuwają się szeroko... Stoliczku nakryj się! Na środek pokoju wjeżdża niziutki stół uginający się od półmisek. Są tu różnorako przyrządzone ryby, suszone mięso, palące sosy i słodkie orzeszki. Na środku króluje pięknie rzeźbione srebrne naczynie, zbudowane jak samowarek. Pod pokrywką w kształcie smoka płoną drewniane węgielki i wonne zioła. Różowawą smugą unosi się kadzidlany dym. W płytkiej rynience gotują się morskie rośliny, ślimaki i kurze serca. To tradycja, „potrawa dla wrózków”. Na zastawionym stole nakrycie nie zabiera zbyt wiele miejsca. Każdy ma dla siebie tylko miseczkę z ryżem. Po resztę potraw sięga się kościanymi paleczkami do wspólnego półmiska. Kawałek plamistej ryby, sos z czerwonego pieprzu, „kimczii” — ostro przyprawiona kapusta koreańska, grudka ryżu...

— Ryż... — mówi profesor Pak. — Z ryżu zbudowany jest nasz uniwersytet...

2 października 1946 roku otwarty został w Phenianie Uniwersytet nazwany imieniem Kim Ir Sena. Po latach okupacji japońskiej, podczas której Koreańczyk był tylko tanią siłą roboczą, wyższa uczelnia dla koreańskich dzieci stała się symbolem wyzwolenia i awansu. Uniwersytet powinien był więc być wielki i piękny. A to musi kosztować wiele tysięcy won. W kraju wyeksploatowanym przez okupanta każdy won zdobywał się z wysiłkiem. W kraju wyzwolonym od okupanta każdy obywatel czuje się gospodarzem. Pewnego dnia przyjechał do Phenianu chłop Kim Dze-won i przywiózł zaszczerdowaną miarkę ryżu. Chłop Kim Dze-won zaapelował do wszystkich Koreańczyków: „Ofiarujcie garść ryżu na budowę uniwersytetu!”. Miliony białych ziarenek zmieniały się odtąd w czerwone mury głównego gmachu uczelni.

W rok po wyzwoleniu na „uczelnia z ryżu” rozpoczęło zajęcia 1810 studentów. W następnym roku akademickim do nauki przystąpiło 3814 studentów. Znowu minął rok i z nacierzystego uniwersytetu oddzieliły się trzy wydziały przekształcając się

w niezależne uczelnie. Przyszedł jednak ów dzień czerwcowy roku 1950. Specjalne zebranie zorganizowane przez Związek Młodzieży z jednym punktem porządku dziennego: „Studentenci w szeregi Armii Ludowej!” Wszyscy studenci Uniwersytetu Kim Ir Sena zgłosili się ochotniczo na front. Razem ze swoimi uczniami wyruszył jako oficer polityczny siwłosy profesor Pak Pal-Jan.

Spotykali się w walkach nad Naktonganiem, pod Seulem i Inczonem. Nie mówiono już o nich teraz: Czung Jong-pal — student wydziału historii, mówiono Czung Jong-pal ten, który w pierwszym dniu walki zestrzelił cztery samoloty amerykańskie bronią wymontowaną z zestrzelonych samolotów wroga. Nie mówiono Jom Dżong-dżul student literatury rosyjskiej, mówiono Jom Dżong-dżul bohater obrona wzgórz 1211, wzgórz, na którym wybuchło w ciągu jednej godziny 9800 pocisków nieprzyjaciela.

Latem 1951 roku profesor Pak został odwołany z wojska. Do starego hasła: „Ani cala ziemi ojczyzny w ręce wroga!”, doszło nowe: „Ani chwili straty w kształceniu ludowych kadr!”. Należało natychmiast wznowić działalność uniwersytetu. Stare mury zostały skruszone i wypalone przez amerykańskie bomby, nim pierwszy rocznik koreańskiej inteligencji zdążył zdobyć dyplomy. Nie można sobie było pozwolić na budowę nowej siedziby uniwersyteckiej. Trzeba było dla wojennego uniwersytetu wybrać jak dla jednostki wojskowej miejsce postoju. Zmieniały się w aktach adresy: jedn. wojsk., „uniwersytet” — mp. Du dan-ki, mp. Dżongdżu, mp. Kusong. Przyszedł wreszcie ostatnia zmiana: miejsce postoju Czasan postanowiono przekształcić w stałą wojenną siedzibę Uniwersytetu Kim Ir Sena.

Wracali na uczelnię starzy studenci, przychodzili nowi. Profesor Pak, dziekan wydziału dziennikarstwa i literatury, notował w swoim notesie nazwisko nowego ucznia: Li Huan-sik. Nowy uczeń ma na piersiach Order Sztandaru Narodowego I klasy. Przyszedł z dalekiego południowego miasta Taegu, gdzie był członkiem podziemnej organizacji Związku Młodzieży. Nad Naktonganiem zgłosił się ochotniczo do Armii Ludowej. „Sztandar” dostał za wzgórze 1225. Był też jednym z siedmiu, którzy po 13 atakach wroga pozostali przy życiu i utrzymali pozycję. Li Huan-sik stracił w walce oko. Ojciec i matka pozostali na południu, uniwersytet w Czasan musi zastąpić nowemu uczniowi dom. W Czasan... ale poczekajmy. Czasan nie należy jeszcze do historii, Czasan, ów słynny uniwersytet w grotach, pracuje jeszcze pełną parą. A więc o uniwersytecie w grotach jutro i naocznie...

Romantyzm bez brązu

Okazuje się, że Czasan nie leży na dalekiej północy w niedostępnych górach, po których spacerują tygrysy. Czasan leży zupełnie zwyczajnie o niespełna dwie godziny drogi od Phenianu. Podróż trwałaby znacznie krócej, gdyby dojazd był łatwiejszy. Od momentu jednak, gdy z głównej szosy skręca się w bok, w miejsc szczytów czarna łachą wypalonych napalim ziemi, rozpoczyna się epopeja. Nasz gazik wspinia się bohaterko stromymi wąwozami, trzęsie się w wyschłym łożysku rzeki, płucze opony „forsując” wartkie górskie rzeczki.

Liczyłam te przekraczane przez nas rzeczki. Było ich siedem. Właśnie tyle, ile w bajce i zamierzonym od dawna początku opowieści. Za siedmioma rzekami bań się jednak skończyła. W zetknięciu z rzeczywistością legenda o romantycznym uniwersytecie w grotach uległa zasadniczej rewizji, a wraz z nią, nie pierwszy i chyba nie ostatni raz w życiu trzeba było zrewidować samo pojęcie romantyzmu.

Czasan jest zwykłą górką wioską. W wiosennym słońcu rozgłośnie gładzą uniwersyteckie kury, w drewnianych kojach wygrzewają się czarne uniwersyteckie świniaki. Dla pewniejszego ukrycia się przed okiem lotnika zabudowania rozrzucone zostały dość szeroko o stóp stoków górskich.

Skok przez wąski strumyczek — jesteśmy w rejonie wydziału matematyki. Pod stopami szeleści zeschła trawa, wąska ścieżka wznosi się na stromej pośrodku do miejsca, gdzie wśród kilku drzew tuli się do stoku ledwie widoczna glinianą chatynka. Żółtawe ściany rozeschły się i pokryły ciemną siecią, jak poznacona zgrubiałymi żyłami dłoń starego człowieka. Dach garbi się w kilku miejscach, ślepowe okno łamie przepagote promienie górskiego słońca. A w środku na drewnianych ładach i półkach stoją rzędem tygry i próbki, menzurki i palniki. W retortach, buzuja kolorowe płyny, skraplają się pary, strącają kryształki. Bo zgrzybiała chatka nie stoi na kurzej łapie, ani nie jest opuszczonym szalosem pasterskim, tylko uniwersyteckim laboratorium chemicznym, w którym prowadzi zajęcia profesor — co prawda bez srebrzystej brody, ale za to członek Koreańskiej Akademii Nauk.

I znów oczy mrużą się od słońca, ziemia pachnie jesienią i wiosną, a na przybzie przed chatą, większą i bardziej koślawą niż poprzednią, grzeje się mały, kosmaty pies. Ta chatka o słomianym dachu roztrzęsionym i zmierzwiłonym, jak zaniedbany zarost, to dom akademicki. Przez wylepione papierem drzwi, służące równocześnie za okna, wchodzi się do małej izdebki. Niziutki sękaty stolik, półka na książki i zwijana na dzień w ciastny, nie zabierający miejsca rulon koldra, to całe urządzenie. A kiedy przychodzi czas wykładu, kretonowe zasłony dzielące poszczególne izdebki rozsuwają się tworząc wydłużoną amfiladę audytorium.

— Agdzie są groty? — zapytacie, jak i ja zapytałam powodując tym lekką konsternację czasańskich gospodarzy. Odpowiedź, którą otrzymałam, przekazuje lojalnie: W Czasan nie ma grot. I nigdy takowych nie było. Chociaż więc z punktu widzenia reportażu byłoby się przydało, nie trzeba udziwniać czasańskiej prawdy. Jest ona dość niezwykła bez bliźniaczej myślowej egzotyki.

Rozmowa w altanie

Altanka przetylna jest do stoku górskiego. Stoi na czterech wysokich palach jak starostwiana chatka w Biskupinie. Dziewczyna o prostych, lśniących jak czarna laka włosach rozlewa do barwnych czarek zielono-złotą herbatę pachnącą gorzko jaśminem i szalwii. Siedząca naprzeciw mnie dziewczyna z włosami skręconymi w drobne loki i perkaty noskiem, przyprowadzonym garstką piegów jak cynamonem, wygląda jak posna pensjonarka. Kim jesteś uśmiechnięta dziewczyno z Czasan? „Byłam partyzantem. Działaliśmy w południowej Korei na tyłach wroga. Walczyłam również nad Naktonganiem. Jesienią 1951 roku skierowano mnie na uniwersytet. Przez pierwsze miesiące przebywałam w Kusong. Koczowaliśmy po chłopskich chatkach. Dokuczał nam wtedy bardzo stały obstrzał z morza. W lutym przeniesiliśmy się do Czasan. Cicha, wtulona między góry dolinka była dobrze ukryta przed wzrokiem myszczących lotników. Tu mieliśmy założycie siedzibę naszego uniwersytetu. Stanowiliśmy dziwną zbieraninę: poznańscy bliznami frontowi żołnierze, starzy nieprzywylki do trudów profesorowie, garstka najmłodszych zapalonych i niedoświadczonych. Teraz mówi się krótko: „przenieśliśmy się do Czasan”, „założyliśmy uniwersytet w Czasan”. Wtedy staliśmy u progu cichej dolinki, bezradni jak rozbitkowie na bezludnym lądzie. Nie mieliśmy nic, dosłownie nic — ani belki, ani gwoźdź, ani pojęcia o tym jak buduje się dom.

Podniosły się bardzo silne głosy nalegające, by przenieść się do wsi i zamieszkać jak dawniej u chłopów. Mielśmy już za sobą kilku miesięczne, nieudane doświadczenie nauki w tych warunkach. Wszyscy wiedzieliśmy, że to byłoby ucieczka. Pokusa była jednak silna, trudno przyszło nam postanowienie: zostajemy. Zaczęła się epoka „czige” — Czi-ge — drewniane nosznie, w których nędzarze koreańscy przenosili na plecach cały swój dobytek, były dawniej w Korei symbolem ubóstwa i upadku. Dla inteligenta ubrać czige było czymś niezwykle poniżającym. Teraz ubraliśmy we wszyscy — legendarni bohaterowie partyzanckich walk i czcigodni członkowie Akademii Nauk. Z po-

bliskich gór ściągaliśmy do dolinki belki, chrust i stare elastwo. Kawałkiem rozbitego samolotu dość trudno jednak zbić dwie belki. Okazało się, że nie obejdziemy się bez kuźni. Założyliśmy ją we wsi, kierownictwo fachowe objął Lo Kuondżun student III roku fizyki. Robiliśmy w tej naszej „fabryce wyrobów metalowych” gwoździe, haki, zawiąsy i różne proste narzędzia. Kleciliśmy nasze domy na wzór najprostszyc chłopskich chat — z chrustu i gliny. Pracowaliśmy nieudolnie i chaotycznie, kaleczyliśmy palce, psuiliśmy i naprawiali. Wszyscy budowali. Nikt nie mówił o ucieczce.

Przyszedł jednak taki dzień, kiedy najmocniejszy człowiek stał się jak dziecko, któremu dorosły, zły człowiek zniszczył ulubioną zabawkę. Zawalił się dom. Prawie gotowy dom. Spadł deszcz ciepły, wiosenny zazielenił listki a zawalił dom. Powiał wiatr, zapachniały roztopy a dom się rozsywał. Wiem, powiecie, nie dom to był a lepianka krzywa i koślawca. Ale to waliła się w wiosenne błoto nasza wiara i nasza żołnierska duma. Bohaterowie, pierś w orderach, a głupiej chaty zbudować nie potrafili! Wystaliśmy delegacją do Kim Ir Sena: Dajcie towarzyszu fachową pomoc dla uniwersytetu! Wrócili bez cieśli i bez murarzy, mruklili, oczy w ziemię. Dowiedzieliśmy się wszyscy: Powiedział — Uniwersytet to instytucja naukowa. Uczyć trzeba się na wszystkim. Zbadać przyczyny zawalenia się domu. A pomocy to od was front oczekuje, towarzysze!

Zbadaliśmy przyczyny. Czaśańskie domki już się nie waliły. Podzieliliśmy się na brygady. Część wyruszyła w pole. Trzeba było zdobyć żywność dla uniwersytetu, no i nie zapomnieliśmy że „front oczekuje od was pomocy”.

Wstaje. Jest świt. A właściwie niedługo będzie świt. Chłopi jeszcze śpią, ale studenci-chłopi już zaczynają dzień. Ziemia potrzebuje nawozu. Z braku sztucznego zbieramy zastępczy — gnijące trawy i ziola. Czi-ge na plecach, o 2 kilometry jest taka góra — magazyn. Księżyc jeszcze wisi ale już wypętył i niepotrzebny. Każdy liść i trawka obrosie rosą skrzą się w błędnym mroku jak świetlik. Gdzieś daleko turkocą pociągi jadące na front, słychać ciężkie stękanie ziemi — bomby. Od wschodu podnoszą się pierwsze, muślinowe seledyny...

Dynastia Silla — powtarzam materiał do seminarium — zjednoczenie Korei VII w. naszej ery. Umoocnienie wpływów buddyzmu...

Kiedy schodzę w dolinę, wierzchołki płoną już purpurą i złotem wschodu. Na porannym niebie dzienne szychta odrzutów zostawia swoje węzowe wizytówki. Czy dziś Czasan ujdzie jeszcze ich uwadze? Czy znów ostrzelają nas przy orce na polu ryżowym? Biedne woły nie mogą schronić się przed lotnikiem do rowu jak my. Stoją takie bezbronne i nieruchome w mulistej mazi ryżowego pola, szarpiąc tylko niespokojnie ciężkimi tłami, kiedy serie karabinowe, jak uprzykrzone gzy bykajaki im zbyt blisko ucha. A jeśli noc będzie księżycowa, wyjdziemy na pole nocą.

...Obserwatorium astronomiczne 630 r. n. e. przykładem rozkwitu nauki i kultury pod panowaniem dynastii Silla...

Dziewczyna urywa jakby zastuchana w odgłosy tamtych wojennych dni. Jest niedziela. Jest rozejm. Na niebie nie ma ani jednej złowroźnej smugi.

Przez liście przeciska się melodia walca Czajkowskiego. Gdzieś bardzo niedaleko śpiewają lirycznie samotne skrzypce. Skąd ta melodia? Kto to gra?

— To u nas — mówi dziewczyna z piegawatym noskiem. — U nas — znaczy u historyków. Wysoko na stoku mała polanka między drzewami. Naokoło „prototypy” ławek zbite z brzoźowych pniaków. Na polance czarnooki chłopak gra Czajkowskiego. Koledzy — historycy klaszczą jak po występie wybitnego wirtuozu. W kacie małe zamieszanie. Dwóch chłopców ciągnie na środek dziewczynę w granatowej bluzie.

— Pali! Pali! — Dopingują widownie, nie drożąc się! Już jest i śpiewa dziewczęca pieśń o spotkaniu z żołnierzem.

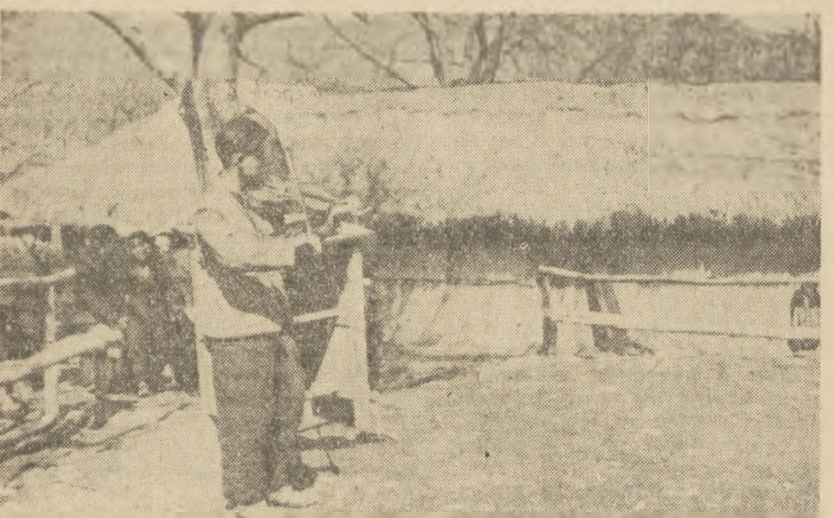
— Zaczęliśmy śpiewać i tańczyć wtedy, kiedy chwilami żyć się nie chciało. — To mówi dziewczyna o wrosach, jak z czarnej laki. Pamiętam,



Grupa przodujących studentów Uniwersytetu im. Kim Ir Sena w Phenianie. Pierwszy z prawej: Li Huan-sik, bohater okresu wojny, obecnie najlepszy student wydziału dziennikarskiego. W środku grupy prof. Pak Pal-Jan — dziekan wydziału dziennikarstwa i literatury, wybitny poeta i publicysta Ludowej Korei.



Ta lepianka to stołówka studentów wydziału historii w Czasan.



Niedziela w Czasan. Mały koncert skrzypcowy w wykonaniu jednego ze studentów wydziału historii. (W głębi widoczne audytorium historyków).



Rozmowy ze studentami z Czasan. Dziewczyna w środku to były partyzant, obecnie studentka III roku wydziału historii.



Międzywydziałowe igrzyska sportowe w Czasan. Mecz siatkówki między drużynami żeńskimi wydziałów geografii i ekonomii.

Foto: A. Bratkowska

Na przekór melancholii, czyli nuda w niebezpieczeństwie

Kochana Ciociu Kryciu! Od razu poznałam, że twoją niemałą zasługą był artykuł pt. „O wydziale melancholii Akademii Sztuk Plastycznych” — w 32 (298) nr POPROSTU. Studiuję od kilku lat na tej uczelni i przynajmniej Ci dużo racji. Nie jest jeszcze najlepiej w ASP. Studia nasze są wciąż jeszcze oderwane od „porównawczego, szerokiego nurtu życia”. Dodam, że wielu młodych po kilku latach pobytu w Akademii traci entuzjazm do pracy, nabiera za to entuzjazmu dla pieniędzy (prace plastyczne są dobrze płatne). Są studenci, którzy wpadają w manię, siląc się na pseudooryginalność, tracąc sprzed oczu istotny cel swoich studiów — twórczość plastyczną dla ludzi.

O tym wiemy i my, studenci ASP. Ale co zrobić, żeby było lepiej? Co konkretnie zmienić? Ponieważ, Ciociu, nie napisałaś o tym, ja Ci opowiem więc, co nowego na Akademii, jak myślimy przepędzić nudę.

Przed II Zjazdem Partii uczelnia nasza podjęła nietatwe zadanie:

NAWIĄZANIE STALEJ WSPÓŁPRACY Z FABRYKAMI

Rektorat włączył do programu studiów systematyczne wyjazdy grup studenckich wraz z profesorem do zakładów produkcyjnych. W jakim celu? Nie dla propagowania wycieczek turystycznych a dla rozszerzenia studiów, związania ich z życiem i pracą prostych ludzi.

Kilka tygodni temu byliśmy wraz z całą pracownią i profesorem w Ursusie (tam, gdzie robią traktory). Przez wiele godzin rysowaliśmy. Mówię ci, kochana, jakie to ciekawe! To całkiem co innego, niż kameralne studia!

— Chcesz pani, to maluj, postój, ale tak ze trzy minutki, bo zaraz będzie robota.

To o wiele trudniejsze, uchwycić charakter człowieka w ruchu, jego najlepszy wyraz. Byliśmy oszołomieni, nie wiedzieliśmy co najpierw rysować, wszystko było takcie interesujące.

Wiesz, co sobie wtedy pomyślałam? Ze właśnie tam, w fabryce, w plenerze możemy sprawdzić swoje malarskie umiejętności. Tam właśnie jest to wszystko, czego uczymy się w pracowni: proporcje, kolor, plany, nastrój — i jeszcze coś — życie. Całe bogactwo problemów, które zmuszają do myślenia.

A nauczyć młodego plastyka właściwie myśleć — to chyba najważniejsze zadanie uczelni. Studia w terenie, to już nie starannie upożowane modele i pieczołowicie dobrane przez profesora kolory. Tam na pewno nieraz trzeba świadomie zmienić na płótnie to, co się widzi w naturze, gwoi jasności i wyrazistości. Tam kopiować się nie da.

I jeszcze sobie pomyślałam, że trzeba mieć sporo wiedzy plastycznej, żeby się w tym wszystkim nie pogubić, żeby wybrać odpowiedni motyw, zkomponować mądrze, wydobyc to co najistotniejsze. Trzeba znać elementarne zasady warsztatu plastycznego.

bywało, posiadaliśmy w rowie zniechęci, ostatecznie zmęczeni bombami, orką i nauką. Zdawało się, że już się człowiek na nie zdobyć nie potrafi. Tęskniłmy za frontem, za okopami, za zapomnieniem, za zrzuceniem odpowiedzialności za dzień jutrzejszy. I wtedy ktoś wyczuwając nastrój ogółu (znaliśmy się przecież jak najbliższa rodzina), zaczął śpiewać.

— Bywa, księżyc żółty i nalany patrzy nam w zmęczone twarze, nad polyskującym tłumem ryżowymskiem ułoni się samotny głos. I oto już podiera go drugi, dołącza trzeci. Jest w zwyczajnej pieśni wielka, prostująca grzbiety siła. Jest ta siła w wierszu i tańcu. Odnależliśmy ją, zaufaliśmy jej i ona nas nie zawiodła. Dziewczyna pokazuje mi niewielką książkę. Trzymam ją w ręku, jest to właściwie bardzo gruby zeszyt. Wymęczona okładka i wytarte od przewracania rogi budzą szacunek dla tego wydawnictwa. Wydawnictwo okazuje się jednym z numerów literackiego czasopisma uniwersyteckiego. Na kład wynosi jeden egzemplarz. Każdy bowiem numer tego jednego w swoim rodzaju czasopisma jest pisany odręcznie. Niebieskie rzadki hieroglify—to studenckie wiersze o trudach zmagania, o dumie wytrwania, o kraju, w którym wiosną kwitną na górach najpiękniejsze lilowe azalie, o dniach, kiedy panna młoda znów widnieje czerwone i złote szaty wesela.

ANNA BRATKOWSKA

Powiem Ci tylko, co było ze Zbyszką — (Znasz Zbyszka Kowalskiego). Otóż Zbyszek, gdy pojechaliśmy do fabryki, zawiązał się i rysował portret jednego z robotników. Wyszło mu nawet ciekawie, ale jedno oko źle umieścił, za blisko nosa i jakoś za wysoko — tak, że portret diabli wzięli. Zbyszek się rozłościł, podał rysunek i powiedział, że w pracowni szczególnie zajmie się studium głowy, żeby w przyszłości, gdy znowu pojedziemy, takiego byka nie strzelić.

Po takim dniu w fabryce wracamy do pracowni odświeżeni, pełni nowych pomysłów i zapału, czując



Wykonane w plenerze prace dyskutuje się bardzo żywo. Oto studenci gdańskiej WSSP omawiają obraz kolegi.

konkretną potrzebę gruntownego przestudiowania proporcji, budowy ciała itp.

Wspomnę także o ogólnych kofzyciach, jakie dają nam rozmowy z robotnikami, którzy licznie gromadzą się przy „malarzu”. Nie „nabiorą” się oni na żaden blichtr, czujnie śledzą, czy rysujemy prawdziwie. Przy tym rozumieją, co to jest syntetyzacja artystyczna, wcale nie ociekają bezmyślnego udawania natury.

Świadomość, że to co rysujemy będzie obejrzone i krytycznie ocenione przez wielu „zwykłych śmiertelników” — jest pożytecznym bodźcem do pracy.

Wiem zresztą o tym nie tylko z pobytu w fabryce. Wiedzą o tym studenci w pracowniach plakatu. W ubiegłym roku, wykonując plakat satyryczny, wiedzieli oni, że najlepsza ich praca będą reproduktowane w piśmie satyrycznym, a nawet oddane do druku. Podniosło to o kilkadziesiąt stopni temperaturę w tych pracowniach, ożywiło nastrój i zapal do pracy.

I to jest druga zasadnicza sprawa, z której chciałam Ci się zwierzyć.

„SOBIE A MUZOM”

Praca studenta po zaliczeniu znajduje się najpierw na wystawie, potem w koszu. Nie pobudza to do wysiłku twórczego, a przeciwnie,

Te dni już nadeszły. Nie trzeba już będzie orać przy księżycu, ani lepić chatek z czerwonej gliny. Nadszedł czas powrotu za siedmiu rzek. Ale niezapomniana szkoła tamtych trudnych lat pójdzie za ludźmi przez wszystkie siedem rzek.

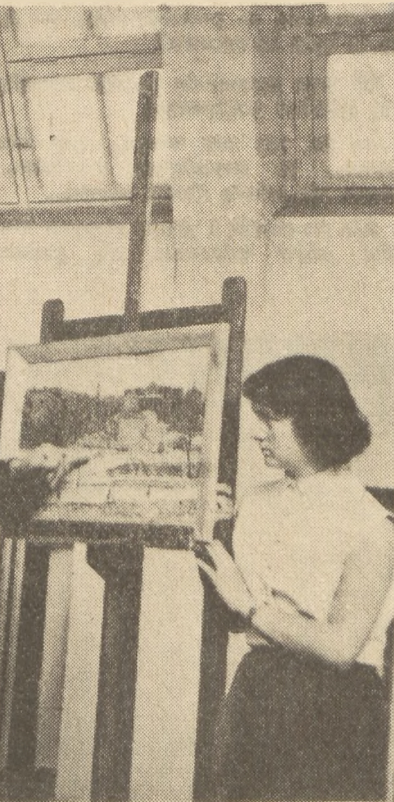
W kilka dni po wizycie w Czasan, miałam okazję zwiedzenia wielkiej pheniańskiej fabryki tekstylnej. Był to produkujący zakład przemysłowy Phenianu. W czasie, kiedy go odwiedziłam, załoga fabryki pokonywała niezwykle trudności związane z przenoszeniem zakładów z podziemnego, wojennego schronu do nowobudowanych hal na powierzchni. Spotykałam się wszędzie z najwyższymi siewami uznania dla sprawności, energii i ofiarności kierownictwa zakładów. Po wielu ciekawych rozmowach, dyrektor fabryki przedstawił mi młodego człowieka, który miał służyć za przewodnika po halach fabrycznych. Chłopak był ubrany w granatowy roboczy kombinezon, miał miłą, myślącą twarz. Tyle zauważyłam przy powitaniu. Zafrapował mnie, kiedy w jednej z hal fabrycznych schylił się po porzuconą na ziemi szpulę i zwrócił półgłosem uwagę przadek. Okazało się, że mój młody przewodnik jest od sześciu miesięcy pracownikiem fabryki a od trzech miesięcy jej naczelnym inżynierem. — Był to absolwent Uniwersytetu Kim Ir Sena.

wpywa deprymująco. Jakże łatwo wykoślawia drogę twórczych poszukiwań.

Student musi wleźć, że prace jego są potrzebne.

Gdy daję się unieść czasem fantazji, widzę studentów grafiki, wykonujących pod kierunkiem profesora ilustracje, okładki, plakaty, które idą następnie do druku. Widzę obrazy moich kolegów w świetlicach tych fabryk, gdzie kompozycje zrodziły się jako rezultat kontaktu uczelni z zakładem pracy.

Widzę portrety przodowników w ich własnych mieszkaniach.



Wykonane w plenerze prace dyskutuje się bardzo żywo. Oto studenci gdańskiej WSSP omawiają obraz kolegi.

Nie mam zbyt wybujałej fantazji. Już w ubiegłym roku studenci z pracowni prof. Tomorowicza wykonali „aleję przodowników” w Fabryce Samochodów Osobowych: portrety jeszcze nie świetne, ale po raz pierwszy chyba w dziełach naszej propagandy wizualnej robione nie z fotografii, a z obserwacji autentycznych, żywych ludzi.

Powiem Ci teraz,

CO SIĘ ZMIENIA W ORGANIZACJI STUDIÓW WEWNĄTRZ UCZELNI

Przed kilku laty każda pracownia niezależnie od swego charakteru rządziła się swoimi własnymi prawami.

Głos w dyskusji

Z błędnych zaulek melancholii

Dobrze się stało, że kol. Czwiertnia w swoim artykule zamieszczonym w 32 nr POPROSTU powiedział dużo prawdy o naszym „wydziale melancholii”. Poruszył wiele ważnych dla nas zagadnień, o których — niestety — tylko często się mówi. Autor zajął się m. in. sprawą niektórych metod pedagogicznych na naszej uczelni, starał się dotrzeć do korzeni zła — chaosu pojęć i wyobrażeń na temat realizmu socjalistycznego, wulgaryzowania jego postulatów, czego owocem są często takie, a nie inne metody pedagogiczne.

One to zaciążyły nad naszymi studiami. Oczywiście nie znajdziemy od razu recepty na radykalne uzdrowienie atmosfery melancholii i nudy, szamotanicy się w błędnych zataczkach, a często tracenia wiary we własne siły. Zbyt głęboko jesteśmy w niej pogrążeni, aby otrząsnąć się z tego powszechnego zastoju po jednym lub kilku, choćby najbardziej trafnych, artykułach.

Ale jeżeli będziemy tylko spodziewać się, aż ktoś za nas to zrobi — kto wie, jak długo jeszcze wypadnie nam czekać, a tymczasem opadają kartki z kalendarzy...

Warto by jeszcze powiedzieć o kilku, może nie specjalnie istotnych, może na pozór błażych sprawach, ale warunkujących w pewnym stopniu nudę w naszych pracowniach.

W początku swojego artykułu kol. Czwiertnia wspomina swoje lata studiów: „Pięć lat... długa to droga! Pięć lat malowania wciąż tych samych modeli, na tle wciąż tych samych szmat, tu szmatka taka, tam — taka, tu kubek — tam jabłko — aby było smacznie i estetycznie — macie żywy, gotowy obraz i pilnujcie! Pilnujcie i pilnujcie do ogłupienia!”

Nie się od tego czasu nie zmieniło. Mało tego, że studenci przez pięć lat malują prawi: te sa-

mi, była jak gdyby autonomiczna. Wyglądało to następująco: W pracowni malarstwa ustawiona była martwa natura czy model do studiowania. Także w pracowni litograficznej ustawiona była martwa natura lub model do rysowania. W pracowni technik metalowych — ustawiona była martwa natura... itd. A student — ciągle ten sam, „prze-stawiał się” co parę godzin, lub co parę dni na inny temat, wykonując jednocześnie cały szereg równoległych, oderwanych od siebie prac, tyle że w innych technikach.

W ciągu ostatnich lat samo życie zmienia tę sytuację, wiąże poszczególne pracownie rysunku i specjalizacji nicią wzajemnego oddziaływania. Coraz częściej studenci wydz. malarstwa realizują w pracowniach pomocniczych jeden temat w różnych technikach. Bywa, że przynoszą swoje akwaforty czy litografie do profesora pracowni „malerzystej” (tj. malarstwa) dla zasadniczego omówienia, porównania ze szkicem olejnym, czy ołówkowym. W ten sposób można skupić się na jakiejś jednej kompozycji, nie tracąc energii na realizację oderwanych w danej chwili, nieinteresujących tematów.

Myślę, że ta tendencja, tymczasem jeszcze żywiołowa, zarysowuje pewną słuszną koncepcję metody nauczania.

Droga Ciociu Kryciu!

Mamy wykłady o realizmie socjalistycznym. Musiałś i Ty dużo czytać na ten temat (a może też chodziłaś na wykłady?) — bo zupełnie trafnie określiłaś, na czym ten realizm ma polegać. Wielu z nas też orientuje się w tej sprawie, czuje, że sztuka powinna być, jak piszesz, porównująca, jak wiosenna rzeka, jak samo życie. Wiedzą o tym na pewno Broniek Modrzejewski, Antek Kluba, Leon Głodny i in. koledzy, którzy pojechali na wykopki w Olsztynskie. Przywieźli stamtąd świetne humory, dyplomy uznania za dobrą pracę i... broń, prawdziwą białą broń: nóż do ogławiania buraków.

Kończąc już drogą Ciociu, bo trzeba walczyć z gadulstwem. Proszę Cię tylko, Ciociu Krytyko Biadolińska, zmień swoje nazwisko na Pomagalska, będę Cię jeszcze bardziej cenić.

HANNA PUŁAWSKA
ASP — Warszawa

SIEMION KIRSANOW

Studentka

Sala się schodami wznosi półkolistą w górę.

Wykład. Słychać głos donośny znanego chirurga. Koło drzwi

smutna dziewczyna między słuchaczami, z współprymkniętymi oczyma błędi gdzieś myślami... Ku dniom wojny,

ku przeszłości wspomnienia jej biegną: Oto

w świącie kul wynosi

spor ognia

rannego.

A teraz przez drzwi,

korytarz,

poprzez kolumnadę

widzi Grecję w dymie bitew,

słyszysz kanonadę... Snieżni: zamleć

gna przez Moskwę

jak wojsko w pochodzie... Do komórki komsomolskiej

dziewczyna przychodzi. Towarzyszu, puśćcie!

W domu

dość się naszedziałam. Chcę do Grecji...

Trzeba wspomóc

przyjaciół w opalach. Nie możecie nie pozwolić... powtarza dziewczyna...

Wstaje

w oknie

śnieżny Olimp

Gęste chmury płyną... — Ja bym sam

choć dzisiaj,

w czołgu...

Wiercie,

ja bym także...

Tam też walczą komsomolki,

Greczynki odważne,

i małeńkie giną dzieci... — spuścił wzrok na biurko —

No cóż,

towarzyszek,

chcecie

może akrypi z chirurgii?... Cóż,

do domu trzeba wrócić

z otartymi łzami,

w garść się zebrać,

w bój się rzucić —

w jutrzejszy egzamin. Ale w ramionach dziewczyny,

sercem jej ogrzana

Grecja

w gęstwie górskich winnie

drży,

rozstrzelwana.

W górach brząsk błękitny świta,

spływa z górskich grzbietów

w kolumnadę

i w korytarz

uniwersytetu...

1948

przel. JÓZEF WACZKÓW

Ciekawe, jak wyobrażają sobie wnętrze naszej uczelni ci, którzy nigdy nie byli w gmachu ASP?

Wiszą tam pewnie wybrane najlepsze i najciekawsze prace studentów wszystkich wydziałów, pobudzając do żywych dyskusji, namietnych sporów... Można oglądać wywieszone w gablotkach reprodukcje wielkich malarzy. Przed Van Gogiem i Gauguinem na pewno gromadzą się zachwyceni studenci, podziwiają rysunek Leonarda, dyskutują nad kubistycznymi dziełami Picassa...

Mylicie się! Nic podobnego. Na gołych, niczym klasztornych ścianach wiszą tylko... gaśnie przeciwpożarowe.

Darujcie pewną przesadę, gdyż jest kilka gablotek, w których żołną całymi tygodniami reprodukcje (konieczne mistrzów „usankcjonowanego” realizmu) dobrane całkiem przypadkowo.

A może dobrze by było, abyśmy zobaczyli tam Braqua czy Matissę? Może po wejściu do pracowni jakimś żywym okiem ocenilibyśmy nudę i szarość naszych prac?

Czyżby to były zakazane owoce? Nikt nam nie mówi przecież — musimie być realistami! Wybieramy realizm i dumni jesteśmy z roli artysty, dumni jesteśmy, że możemy dać obraz naszych czasów i włączyć się swoją sztuką w kształtowanie nowego, pięknego życia. I nie ma obawy, abyśmy z dwóch dróg wybraли drogę pustej żonglerki formami.

Myślę jednak, że i od Braqua i od Picassa możemy się nauczyć wiele rzeczy, które nam się przydadzą z pewnością. I od Matissy możemy nauczyć się radości, słońca i uśmiechu.

Mało mamy powodów do dyskusji. Dusimy się we własnym pracownianym sosie. „Ortodoksyjny segregator, w którym zdążono już skrzętnie poukładać wszystkie

możliwe pojęcia”, zasila jeszcze często naszą wiedzę o sztuce realizmu socjalistycznego.

Wielu studentów maluje w domu, ale swoje prace rzadko przynoszą do pracowni, niechętnie poddają korektom i dyskusjom. — Po co? — pytają zdziwieni.

Być może te „ciemne typy”, zamknięte w czterech ścianach własnego pokoiku, oddają się najohydniejszemu formalistycznemu praktykom! Może (o zgrozo) malując garnek obwodzą go czarnym konturem! Może (o zgrozo) kładą na płótnie czyste, jasne kolory. Czasami jednak, gdy zobaczy się w pracowni czyjeś domowe prace, okazuje się, że są szczere, żywe i prawdziwe.

W naszej pracowni wszyscy malują jednakowo. Kiedyś profesor urządził nam zbiorową korektę rysunku. Ustawiliśmy wszystkie prace w rzędzie, obok siebie i okazało się, że mamy podobne słabości, podobne widzenia i można nam wszystkim wykazać wspólne błędy. I tak czasem myślę, czy zjawisko, polegające na tym, że nasze prace są jednakowe, że brak nam indywidualnych koncepcji artystycznych, nie ma źródła? W metodach pedagogicznych?

Warto by w związku z tym rozwinąć szeroką dyskusję. Może koledzy z innych uczelni plastycznych wypowiedzą się na ten temat, niekoniecznie krytycznie, może podzielą się z nami własnymi osiągnięciami.

Studenci uczelni artystycznych powinni nawiązać ze sobą ściślejszy niż dotychczas kontakt. Doroczne wystawy prac studyjnych będą okazją do wymiany naszych doświadczeń.

J. OLEJARKA
D. EYSYMONT
ASP — Warszawa

Średniowiecze 1954



I

A kta sprawy pozwalają od-
tworzyć z grubsza prze-
bieg wydarzeń:

W miasteczku Bełżyc województwa lubelskiego, prefekt szkolny, wikariusz parafii ks. Władysław Mazurkiewicz prowadził chór złożony z dzieci — uczniów tutejszej jednastolatki „rozwojowej”.

Wiosną br. ksiądz zaproponował trzem dziewczynkom z chóru, aby zjawiły się w sali parafialnej — oprawić książki. Dziewczynki przyszły, ksiądz był obecny przy ich pracy, a kiedy odchodziły, zaproponował jednej z nich — 14-letniej Irenie B. aby następnym razem przyszła sama.

— Jeżeli mamusia pozwoli — powiedziała dziewczynka — to przyjdę.

Matka Ireny, nie widząc nic złego w nowym zajęciu córki pod opieką księdza, pozwoliła i dziewczynka znów znalazła się w sali parafialnej.

Ks. Mazurkiewicz uważnie przypatrywał się jej pracy. W pewnej chwili niespodziewanie podbiegł do Ireny i zaczął ją gwałtownie całować, po czym — wbrew oporowi dziewczynki — dokonał czynów, które § 203 kodeksu karnego określa mianem — „lubieżne”.

Wyżyskując swój autorytet, a także nakładając małą datkami pieniężnymi, ks. Mazurkiewicz spowiadał, że dziewczynka jeszcze kilkakrotnie „oprawiła książki” w sali parafialnej.

W lipcu br. wyjechała na kolonie letnie do Zwierzynca i tu zaczęła otrzymywać od księdza Mazurkiewicza listy.

Przenieśmy się do mieszkania autora — na plebanie. Ks. Mazurkiewicz skończył właśnie pisać list na brudno i zabiera się do czystopisu. Warto jednak porównać oba skrypty, aby się przekonać, że nie wszystko co ksiądz napisał „z uczucia” mogło być przesłane dziewczynie — pewne zwroty bowiem mogły zaskądzić planom autora.

O chorze kościelnym donosi ks. Mazurkiewicz w czystopisie:

„Plotkarską „ferajnę” musiałem rozwiązać, za dużo już plotek było. Uspokoją się i może się jakoś ułożyć na przyszłość” 2).

A brudnopis:

„Jest mi zupełnie obojętne co mówią — zresztą musiałem rozwiązać tę plotkarską „ferajnę” 3), 4)

Tym samym listem, datowanym 6. VII. ks. Mazurkiewicz donosi, że zjawi się w Zwierzynca osobiście. „Co prawda ty jesteś związana z regulaminem letniskowym, ale jakoś daliśmy sobie radę...”

Nie minął dzień, a Irena dostaje drugi list, konkretniejszy:

„Niemał w ślad za pierwszym listem wysyłam drugi i to Cię zapewne zadiwi.

Ostatecznie już wiem o terminie mojego urlopu wakacyjnego. Bełżycę opuszczam 11 lipca — samochodem o 16.40 projektuję zajechać do Motycz, a stąd przez Lublin — Rejowiec — Zawadę — do Ciebie, Irenko — do Zwierzynca. W Zwierzynca zapewne będę w nocy z niedzieli na poniedziałek — poczekam do rana na stacji, a rano zaręczę się kolo Waszego domu wypoczynkowego. Odpada Ci Irenko trud przychodzenia na stację, bo ja... przyjdę do Ciebie. Może mnie dojrzyś w jasnym ubraniu i płaszczu, wówczas porozmawiamy sobie...”

Opiekun zawiadamia o zajęciu kierowniczkę kolonii, a ta wtajemni-

bie o wszystkim, a będzie wiele tematów...”

Jest to znów fragment z „ogładą stylistyczną”, bo w brudnopisie czytamy:

„W Zwierzynca wysiadę i będę czekał do rana na stacji kolejowej. Później pojeżdżę bliżej Ciebie, chyba mnie Irenko poznasz — będę w jasnym ubraniu i płaszczu białym i białym kaszkietcie, tak na cywila — kawalera”.

Ks. Mazurkiewicz mimo wszystko nie chciał uchodzić w oczach dziewczynki za „cywila-kawalera”. Stąd jego listy są dziwaczną mieszaliną świecko-religijnych wyznań:

„Troszkę się już bałem, że może Ireniu zapomnisz o mnie, starym brzydalu.

„Ogrom niewymownej tęsknoty mnie ogarnął, tak często myślę o Tobie — i staram się odczytywać Twe myśli i uczucia na odległość...”

„Mój Synu kochany! Nie zapominać o Kościółku, skorzystaj z Sakramentu Przebaczenia, pomódł się za mną do Dobrego Jezusa, ja o Tobie Ireniu pamiętam codziennie.

„Bądź łagodną i uprzejmą, do brocią zdobywaj serduska koleżanek i prowadź je... do Jezusa.

„Tak często myślę o Tobie, w nocy śnię...”

„Pamiętaj, nad Tobą Bóg i Matka Niebieska, a na ziemi Mamusia i jeszcze jedno życzliwe i kochające serce... zgadnij czyje?”

Samotnik”

W umówionym dniu zjawia się w Zwierzynca „Samotnik” i spotyka się z Ireną. Zostawia dziewczynce masę wysokogatunkowych słodyczy, na co zwracają uwagę koleżanki Ireny i kierowniczkę kolonii, która wie, że Irena ma tylko matkę i że warunki materialne obydwu są ciężkie.

Te dni lipcowe uwiecznia ks. Mazurkiewicz na małym „kartelusku” zatytułowanym:

„R-y” (rozchody):

11. VII.	Czekolada, piwo	20
12. VII.	Irenie	120
13. VII.	papierosy „Belweder”	15
14. VII.	Kielbasa 1 kg kabanosa	60
	Wino „Mistela”	39
	Koszula popielinowa 150*6)	

Kierowniczkę kolonii — odpowiedzialną za zdrowie i moralne i fizyczne dany jej pod opiekę dziewczynki — odczuwa niepokój.

Kiedy zjawia się kolejny list do Ireny adresowany tym samym drobny, niby kobiecym piśmem, kierowniczkę postanawia odpięczętować kopertę.

List datowany jest 15 lipca w Szczyrku. „Samotnik” pisze z urlopu:

„...Choć tak mało mi mówisz, choć nie możesz mi się uwewnętrznić ze swymi uczuciami, choć pozornie, Irenko, zdajesz się być zamknięta w sobie — choć jak Ci to mówiłem robisz wrażenie kupionej niewolnicy, spełniającej życzenia swego właściciela — to mimo wszystko Irenko, żywię do Ciebie nieogarnioną miłość — tkliwość...”

Napisz mi szczerzej o swej miłości — bądź swobodną i nieskrępowaną — tu w Szczyrku nikt mnie nie zna — możesz w liście szczerze się wypowiedzieć, Ireniu, Mój Miły Synu!...

„Jak Twoje koleżanki obozowe — czy coś plotkowały o moich odwiedzinach?...”

„Mój adres: Szczyrk, u. Mierka Alojzego 53”.

W tym samym liście „Samotnik” donosi Irence, że zjawi się w pociągu, którym dzieci będą wracały z kolonii.

Kierowniczkę oddaje adresatce list i postanawia bacznie uważać...

Pędzi pociąg ze Zwierzynca. Spokojnie siedzi na swym miejscu Irenka. W pewnej chwili prosi o pozwolenie pójścia do toalety. Bierze mydło i ręcznik.

Pobyt Ireny w toalecie przedłuża się. Inne dziewczynki, pragnące tam wejść, dobijają się bez skutku. Wołają opiekuna — delegata instytucji, która zorganizowała kolonie.

Na oczach opiekuna drzwi toalety otwierają się i wychodzi z niej rosy mężczyzna w szarym garniturze i ciemnych okularach. Drzwi ubikacji w dalszym ciągu zamknięte. Mężczyzna „ułatnia się”, a za chwilę z toalety wychodzi Irena.

Opiekun zawiadamia o zajęciu kierowniczkę kolonii, a ta wtajemni-

cza go. W treść pewnego listu... Pogoń po pociągu za mężczyzną w ciemnych okularach długi czas nie daje rezultatu. Dopiero na stacji w Lublinie zostaje on oddany w ręce funkcjonariusza MO.

Tymczasem przy Irenie znaleziono nowiutki banknot 100-żłotowy. Otrzymała go w toalecie.

Po wylegitymowaniu zatrzymanego okazuje się, że jest to ksiądz Władysław Mazurkiewicz, wikariusz parafii Bełżyc, były prefekt szkolny — vel „Samotnik”, autor listów, których obszerne fragmenty zamieściliśmy powyżej.

We wrześniu przed Sądem Powiatowym w Lublinie miała miejsce rozprawa przeciwko Władysławowi Mazurkiewiczowi, oskarżonemu o przestępstwo z § 203 K.K.

Przewód sądowy zgromadził dość materiałów dowodowych, aby wszelkie próby wykretów i fałszywych zeznań (np.: Oskarżony: „Pieniądże dawałem Irenie jako pożyczkę dla

się z kościoła. Na dworze panował nieprzejrzany mrok.

W pewnej chwili z grupy starych kobiet oderwała się czarna postać i drobnym kroczkiem podbiegła do mnie. Twarzy tej kobiety nie mogłem w ciemności dostrzec. — Pan pewno brat księdza Mazurkiewicza? — zatrajkotała postać. Nie zrozumiałem i milczałem, co kobieta poczuła widocznie za aprobatę z mojej strony.

— Podobnie ksiądz założył rewizję? — mówiła szybko. — Niech pan powie co z tego będzie?

— Nie jestem bratem księdza Mazurkiewicza — powiedziałem. — A co to była za sprawa?

W tym momencie babka zaczęła się oddalać trąkając:

— Ja nic nie wiem... nic nie wiem... to przeklętnik dyrektor... niech ich szkołę diabli weźmą...

Ale po chwili z grupy starych kobiet znów oderwała się postać



jej ubogiej matki”. Matka dziewczynki: „Nigdy nie prosiłam księdza o pożyczkę i nigdy nie miałam od niego żadnych pieniędzy” — okazały się bezskuteczne.

Wyrokiem Sądu Powiatowego, który uwzględnił pewne okoliczności łagodzące, jak dotychczasowa niekaralność oskarżonego — Mazurkiewicz skazany został na 5 lat więzienia.

Tyle mniej więcej dowiedzieć się można wertując grubą teczkę akt zamkniętej już sprawy.

II

Będąc niedawno w Lubelskim wypadło mi zatrzymać się parę godzin w osadzie Bełżyc — odległej 20 km pękasem od Lublina.

Było ciemne październikowe popołudnie, kiedy wstąpiłem zwiedzić miejscowy kościół, jeden z nielicznych w Bełżycach obiektów wartych oglądania.

Kiedy wszedłem — nabożeństwo różańcowe zmierzało ku finałowi, młody ksiądz kończył kazanie...

„...i na łożu śmiertelnym Wolter zażądał Boga. Ale przyjaciele nie dali mu mówić, zakryli głowę kordą i tak uduślił się Wolter...”

W kościele było sporo osób, ale co ciekawe — obecni dzielili się na dwie grupy ze względu na wiek. Pierwszą, liczącą, stanowiły stare kobiety w ciemnych chustkach na głowie. Drugą — dzieci w wieku przedszkolnym i z klas pierwszej, drugiej, trzeciej szkoły podstawowej.

Toteż moje zjawienie się — z miejsca ubranego młodego człowieka — zwróciło powszechną uwagę starych kobiet, rozpraszając ich duchowe skupienie i wywołując u mnie pewne zakłopotanie.

Ale nabożeństwo, jak napisałem, właśnie się kończyło. Tłum wysypał

i znów znalazłem się w ogniu pytań:

— To może pan jest bratem nowego wikariusza?...

— Czy chce pan rozmawiać z księdzem kanonikiem? To ja go poproszę...

— Ależ proszę pani — powiedziałem grzecznie. — Dam sobie radę sam.

— Nie, nie! — szeptała. — Ksiądz kanonik będzie się obawiał rozmawiać z obcym mężczyzną. Ja zawołam...

Zaintrygowany sprawą „od strony” dziennikarskiej, nie wyjechałem tego dnia z Bełżyc. Nocowałem w szkole, rozmawiałem z dyrektorem tow. Nowakowskim, jeszcze dźwiękiem spędzili w osadzie — a był to dzień targowy: sporo mogłem się nasłuchać.

Do sprawy, której akta udostępnił mi w parę dni później Sąd Powiatowy, przybyły relacje „miejscowych” i sprostowania „obyczajowe”.

Zainteresuje pewnie czytelników, jak na rozprawie sądowej reagowała matka dziewczynki i jak reagują na to wszyscy ludzie — czyli tzw. opinia społeczna Bełżyc.

Otóż matka Ireny — wieloletnia mieszkanka Bełżyc — winą za wszystko obarcza... córkę!

„Ja mam większą pretensję do Ireny niż do księdza” — notuje protokół słowa matki. Powiedziała ona w sądzie:

— To szatan opętał Irenę!

— Ludzie w Bełżycach wiedzieli, że Irenka chodzi do księdza — mówiła.

Tak, ludzie w Bełżycach wiedzieli — bo podobne sprawy właśnie w takich Bełżycach są przedmiotem plotek — tasiemców: Ludzie w Bełżycach, wiedzą: mniej więcej o przebiegu rozprawy — ostatecznie

matka Ireny wróciła z Lublina do Bełżyc... (Dopiero ostatnio wyprowadziła się z osady, zabierając córkę — uczennicę VIII klasy).

Ale mimo to ludzie w Bełżycach dalej uważają Mazurkiewicza za „świętego księdza”.

I na tym gruncie rodzi się plotka: ksiądz nie winien, tylko partyjny dyrektor szkoły chciał „usadzić” księdza i zorganizowali (ta specyficzna bezosobowa forma!) POLITYCZNY PROCES.

Cóż z tego, że dyrektor Nowakowski dowiedział się o wszystkim wezwany na rozprawę? Że n’gdy nie podejrzewał nawet byłego prefekta swej szkoły o t e g o t y p u działalności?

Uczniowie kl. VII w dzień bodajże po wyroku na Mazurkiewicza podbiegali w domach — podnieśli na apelu flagę do pół masztu! Na znak... żałoby.

Dyrektora szkoły, człowieka od wielu, wielu lat niewierzącego, spotyka obecnie w Bełżycach seria prowokacyjnych napaści. Oto np. stare kobiety w chustkach witają idącego ulicą tow. Nowakowskiego: „Niech będzie pochwalony!”

„Dzień dobry” — odpowiada grzeczny jak zawsze dyrektor.

Wtedy następuje stek wyzisk: „A żeby cię ziemia święta nie nosiła, taki owaki, skoro nie umiesz odpowiedzieć „na wieki wieków” itd.

Bełżycy do dziś żyją sprawą Mazurkiewicza i pewne środowiska bełżyckie rzygają nienawiścią, kierując ją w zgola nieoczekiwanym kierunku.

Targowego dnia w Bełżycach mogłem do woli nasłuchać się owych półsłówek i naobserwować owych wyrażających w kierunku szkoły gestów.

Już w październiku zgłosiła się do Sądu Powiatowego matka Ireny — godna przedstawicielka opinii bełżyckiej — aby prosić o widzenie ze skazanym. Chciała go nakłonić do zmiany stanu duchowego na świecki i do ożenku z Ireną.

Sędzia nie dał widzenia, jest bowiem innego zdania: już dziś dziewczynka — jak wynika z jej własnych słów — odczuwa wstręt do „starego brzydala”. Kto ma prawo przykuwać ją do takiego człowieka na całe życie? I to dziś — kiedy dziewczynka ma 14 lat!

Oto ścieżki, po jakich chadza świadomość bełżyczan a. d. 1954. Oto czego dowiedziałem się podczas króciutkiego pobytu w osadzie.

III

Oczywiście akta sprawy Władysława Mazurkiewicza to lektura ze wszech miar interesująca. Przyciągnę na pewno prawnika-kryminalistę, da sporo do myślenia psychologowi, socjologowi, a zresztą jako sprawa „sensacyjna” — każdego zainteresuje.

Można przy niej mówić o rozmiarach skazy, jaką na duszy dziecka zostawił proceder Mazurkiewicza, o perfidii tegoż osobnika, o szczególnie wadze rozmiarnia się słów z czynami u w y c h o w a w c y...

Ale nie ta „faktologiczna” strona znanej mi sprawy kierowała moją decyzją napisania niniejszego raportu, artykułu, czy jak go tam zwąć!

„Szarpnął” mną odzew Bełżyc na proces Mazurkiewicza, wstrząsnęła mną postawa matki Ireny. Wstrząsnęła mną krzywdą, jaką wyrządza jej swymi poglądami ludzie bełżycy — dziewczynce i nie tylko jej, ale swoim własnym dzieciom — tym uczniom VII klasy „od flaki do półmasztu”, krzywdą — szkole.

Nie trzeba znów tak wiele wyobraźni, a za to nieco znajomości historii i literatury, aby sobie uprzytomnić, jak wyglądałby epilog sprawy Mazurkiewicza w Bełżycach średniowiecznych — roku dajmy na to 1350 naszej ery.

Stanąłby na rynku wielki stos.

Splonęłaby na nim czternastoletnia „czarownica” opętana przez szatana, o czym własna matka zeznałaby na dostojnym trybunale.

A ksiądz Mazurkiewicz — pośrednio tknięty przez nieczystą siłę — pokutowałby pewno w którymś klasztorze.

Czy uzmysławiacie sobie, czytelnicy, że to wcale nie żarty?

Ale oto w roku 1954 stopy wyszły z użycia. Czy jednak nie jest prostym przedłużeniem tamtych wyzwań dzisiejsze zachowanie bełżyczan z owym: „To szatan opętał Irenę” — jej matki na rozprawie? Dlatego nazwałem ten artykuł: „Średniowiecze 1954”.

Powie ktoś, że może nie warto pisać o tym wszystkim, bo po pierwsze i w samych Bełżycach są ludzie, którzy rozumują inaczej, a po drugie — ludzie o średniowiecznych poglądach są bezzilni.

Otóż to! Fakt, że są bezzilni wobec naszego ustawodawstwa, że są RELIKTEM, a nie PRZYSZŁOŚCIĄ. Ale też fakt, że reprezentują siłę wrogą postępowi naszego życia, że hamują jego rozwój. Studenci historii sztuki, poturbowani parę lat temu podczas swych badań przez małomiasteczkową sfanatyzowaną ludność, mogą to potwierdzić. I nie oni jedni...

„Rozsądek to jest kawałek owego powszedniego chleba, o który w pacierzu matki was prosić uczyli” — pisała Żmichowska z jawnym adresem do wierzących. Ale i dziś jest wśród nich bardzo wielu, którzy wbrew rozsądkowi, wbrew faktom wyznają obyczajowość średniowiecza.

W reporterskich czy wczesowych wędrowkach zwiedziłem wiele małych miasteczek i osad. Zauważyłem, że tam właśnie — z dala od miasta, od kultury, od przemysłu, gdzie życie gnuśniejsze jest i często w tyle pozostające za olbrzymimi przemianami jakie ogarnęły kraj — że tam właśnie jawi się w stopniu bardziej „skondensowanym” fanatyzm religijny. I że wypacza on, a często marnuje pewnych ludzi, zwłaszcza młodych.

Pisałem o tym w niedawno drukowanym na łamach POPROSTU opowiadaniu pt. „W Sw. Katarzynie”.

I oto znów znalazłem się w małej osadzie — Bełżyc, nieuprzemysłowionej, mało ruchliwej, gdzieś jeszcze nie dotarli w całej okazałości Polski Ludowej. I znów napotkałem przejaw owego fanatyzmu, znów musiałem pomyśleć nad tym, jak pacy się przezeń dusza dziecka.

Przychodzi chwila, w której dostajemy dyplom i — nakaz pracy. Wielu z nas żyć będzie i pracować w t a k i c h Bełżycach. Staniemy na pewno, i to nieraz, przed sprawą podobną do opisanej. A wielokrotnie — przed bardziej delikatną, „cięższą”, trudniejszą do rozgrzeźnienia. Czy rozumiemy dobrze, że fanatyzm — to pożywka dla wroga, że na tym gruncie też, a czasem p r z e d e w s z y s t k i m, toczy się klasowa bitwa?

I właśnie dla zasygnalizowania tej problematyki — a nie dla „sensacyjności” sprawy Mazurkiewicza — napisałem powyższy reportaż.

Warszawa, listopad 1954 r.

1) Ze zrozumiałych względów podaję nie autentyczne imię i inicjał nazwiska dziewczynki. Wszystkie pozostałe nazwiska i okoliczności są prawdziwe i podane bez zmian.

2) Listy Mazurkiewicza zatrzymane zostały u Ireny B.

3) Brudnopisy listów zatrzymane zostały podczas rewizji (w obecności świadków, m. in. kanonika Bargiela) w mieszkaniu Wł. Mazurkiewicza.

4) Wszystkie podkreślenia w tekstach korespondencji moje (T. S.).

5) Kartka zatrzymana podczas rewizji w mieszkaniu Mazurkiewicza.



E. HOLDA

Miasteczko 1953

Rzeczka, kępy olszyny.
Plac się ceglami zjeża.

Dwa fabryczne kominy,
jedna kościelna wieża.

Olsztyn dyskutuje nad „Listem” Strzał był celny... U olsztyńskich „rybaków”

O publikowany cztery tygodnie temu w POPROSTU list społeczeństwa województwa olsztyńskiego do profesorów i studentów szeregu uczelni śmiało można nazwać artykułem, który zmusza do refleksji, podsyca dyskusje, polemiki. Zawrzało w Wyższej Szkole Rolniczej. Fala ożywienia przeszła przez grupy, lata i wydziały. Rozruszały się zebrania. O liście mówi się w rozmowach prywatnych, dyskutuje w domach studenckich. Pospały się podejmowane żywiołowo rezolucje...

„Zgromadzeni na zebraniu wyborczym koła ZMP w dniu 25 października, po zapoznaniu się z treścią listu, po głębokim jej przeanalizowaniu, krytycznie usłównokujemy się do wypadków wymienionych w liście — w szczególności dotyczących absolwentów naszej uczelni!” — stwierdzają studenci III roku wydziału zootechnicznego WSR. — „Wiem, że czeka nas w przyszłości ciężka i odpowiedzialna, a jednocześnie zaszczytna praca: podniesienie rolnictwa na wyższy poziom. Dlatego też postanawiamy: ściśle przestrzegać dyscypliny studiów, jak najlepiej opanowywać wiedzę fachową, nieustannie podnosić nasz poziom polityczny, aby w przyszłości nie

zawieść pokładanej w nas nadziei społeczeństwa i Partii”.

Podczas dyskusji w V grupie III roku wydziału zootechnicznego gorąco wystąpił kolega Chodorowski. W słowach jego brzmiała gorzka i żal. Kolega Chodorowski wstydzi się za Wronów, Cichockiego, ludzi, którzy studiowali na tej samej co on uczelni. Kolega Chodorowski rozumie, że hańbę tę trzeba zmyć, honor WSR ocalić.

Profesor Dubiska rozpięta na ścianie dzianekatu, niby aktualny program działania, stronicę POPROSTU ze zmiennym listem.

Profesor Gałąj nie pomija żadnej okazji — na wykładzie, po odczycie, podczas przygodnego spotkania — aby nie zapytać: „A co sądzicie, kolego, o liście? Czytaliście list?”.

Numer POPROSTU z listem rozszedł się w świecie i na uczelni „doszczętnie” i błyskawicznie. Obywatel Boczkowski, choć nie profesor, nie student — wożny — czytał artykuł z dużym zainteresowaniem. Takie sprawy obchodzą przecież wszystkich pracowników uczelni!

Natomiast dość żenująca obydłw stronie jest rozmowa przedstawiciela POPROSTU z kierownikiem szkół zawodowych w Zarządzie Wojewódzkim ZMP, który ma pod swoją opieką i sprawy studenckie. Towarzysz ten listu olsztyńskiego jeszcze nie czytał. Nie znalazł na to czasu w nawale bieżącej pracy związanej z kampanią wyborczą. Od dwóch tygodni stałe przebywał w terenie. W wydziale oprócz niego jest tylko jeszcze jeden instruktor. Fakty te świadczą, że warto by pomyśleć o pomocy dla wydziału, aby mógł lepiej zajmować się sprawami studenckimi, sprawami WSR — potężnego skupiska młodzieży.

Kiedy już gościliśmy w Zarządzie Wojewódzkim ZMP, nie można nie wstąpić na odbywającą się tam akurat naradę aktywu z całego województwa.

Mówiono o przebiegu kampanii wyborczej do rad narodowych, o przygotowaniach do II Zjazdu ZMP. Ciekawa to była narada, bogata, głęboka, optymistyczna.

Ale rozglądaliśmy się po sali. Szukamy studentów olsztyńskiej Wyższej Szkoły Rolniczej. Szukamy, szukamy i... znajdujemy tylko jedną osobę — przewodniczącego Zarządu Uczelnianego kolegę Kardysia. To trochę dziwne, bo przecież chyba warto byłoby, aby więcej studentów — przyszłych „oficerów” rolnictwa — mogło uczestniczyć w takim zebraniu, mogło przysłuchiwać się wypowiedziom swych kolegów ze wsi. A ciekawie mówił na przykład Walter Kuśmider ze spółdzielni produkcyjnej Świdry w powiecie giżyckim i koleżanka Jenczyk z POM Zalewo w powiecie morąskim, i Krystyna Szule z gminy Pieszkowa w powiecie Górowo Iławieckie, i wielu, wielu innych.

Wydaje się niesłuszne traktowanie spraw młodzieży WSR w oderwaniu od spraw młodzieży całego województwa (rolniczego!). Wydaje się, że w treści narady powinny być znaleźć odbicie problemy listu olsztyńskiego. Niechby aktywiści wiejscy wypowiedzieli swe opinie na temat absolwentów pracujących w ich terenie, niechby orzekli, jakiej pomocy od nich oczekują, jak oceniają ich postawę. A i studenci, którzy często wyjeżdżają na wieś, sami pochodzą ze wsi, też by z pewnością mieli wiele uwag i spostrzeżeń.

Z dużą powagą, z dużym zrozumieniem podszedł do opublikowanego listu Komitet Wojewódzki Partii. Do późnej nocy radzili w wydziale oświaty nad sprawą absolwentów działacza partyjni, profesorowie WSR, młodzi pracownicy nauki, aktywiści zetempowscy. W atmosferze krytyki, rzeczowych, konkretnych wniosków, głębokiej troski o losy studentów toczyła się ta ciekawa narada.

Zdaje się, że właśnie tu padło trafne sformułowanie, które dało tytuł tym pisanym „na gorąco” reporterskim notatkom: „Strzał był celny”.

„Strzał był celny” — tak mówią o liście w miejscu jego nadania — w Olsztynie. Strzał padł tu w odpowiednim momencie, ugodził w punkty węzłowe, odbił się szerokim echem. (kg)

Bardzo żywo zareagował na „list olsztyński” studenci wydziału rybackiego olsztyńskiej WSR. W dniu 3 bm. odbyła się tu narada wytwórcza studentów IV (dyplomowego) roku. Już za kilka miesięcy pierwszy w historii tego wydziału inżynierowie-rybacy pójda do pracy. Nic dziwnego, że każdy z nich zastanawia się, czy jest dostatecznie przygotowany do wykonywania zawodu, czy spełni pokładane w nim nadzieje. Ta konfrontacja wymogów życia ze zdobytą na uczelni wiedzą to istotny, dominujący ton całej narady wytwórczej IV roku wydziału rybackiego olsztyńskiej WSR.

W wypowiedziach studentów blagających udział w naradzie można było usłyszeć wiele obaw, „czy aby podolają pracy”, i niezadowolenia z przygotowania fachowego jakie otrzymali na uczelni. Były głosy, że pierwsi inżynierowie-rybacy wyjdą z olsztyńskiej WSR „niedouczeni” (m. in. mówił o tym kol. Wójcik), że dziekanat wydziału rybackiego może się spodziewać drugiego listu od społeczeństwa, piszącego wcale niepocholebnie o absolwentach z wydziału rybackiego (kol. Kempński). W niektórych wystąpieniach dały się zauważyć nutki zdenerwowania i lekko przed odpowiedzialną pracą (kol. Bartosz).

Główną przyczyną tego stanu rzeczy jest, zdaniem dyskutantów, wadliwy program studiów i niedbałe realizowanie przez dziekanat istniejącego programu. (Nieodbywanie się przewidzianych wykładów, brak kredytów na prowadzenie pracowni przetwórstwa surowców rybnych itp.). Dlatego na temat programów studiów rozgorzała rzeczowa dyskusja. Większość studentów twierdziła, że wykłady są zbyt abstrakcyjne, oderwane od potrzeb życia, przeciążone wieloma zbędnymi wiadomościami. Podawano przykłady przerostu przedmiotów podstawowych, koniecznych dla dyscyplin rolniczych. I tak na przykład ilość czasu poświęcona na wykład z go-

spodarki stawowej jest o wiele mniejsza od czasu przeznaczanego na wykład z mikrobiologii. Na ichiologię przeznaczono tyle samo godzin co na biochemię. Zdaniem dyskutantów — niesłusznie.

Prof. dr Sakowicz, dyr. Instytutu Rybactwa Śródlądowego, zabierając głos w dyskusji stwierdził jednak, że zadaniem wykładowców powinno być przede wszystkim umożliwienie studentowi zdobycia wiedzy teoretycznej w danej dziedzinie studiów, gdyż nie może on odpowiednio wyspecjalizować się w ściśle określonym kierunku swojego przyszłego zawodu bez uprzedniego zapoznania się z ogólnymi, podstawowymi pojęciami naukowymi.

Dyskusja nad programem studiów kierunku rybackiego, w której prof. Sakowicz słusznie ostrzegł przed praktycyzmem, jest sygnałem alarmowym dla odpowiednich instancji Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego, Studium rybackie czeka na wnikliwą analizę programu.

Istotnym i głównym brakiem narady było ominięcie problemu postawy moralno-ideowej absolwenta. Zaledwie 3 osoby (prof. Sakowicz, dziekan Towarnicki i kol. Jaworski) wspomniali o tym, że „list olsztyński” zwraca szczególną uwagę na postawę moralno-ideową absolwentów. Zagadnienie to jest szczególnie doniosłe zwłaszcza dla przyszłych inżynierów-rybaków. W rybakowie trzeba dużego hartu, by walczyć z rutyną, by być nowatorem. Pierwsi absolwenci wydziału rybackiego powinni stać się pionierami w całym tego słowa znaczeniu. Tu „ślabi ideowo — jak mówi list — nie sprostażą zadaniom”, mając przed sobą mur niechęci i często nieelknie warunki pracy.

Dlatego zadaniem szczególnie ważnym dla wszystkich władz uczelni jest lepsza jeszcze praca ze studentami IV roku wydziału rybackiego.

ZG.

Byłem w „skórze” absolwenta

Do napisania jeszcze raz o praktykach dyplomowych w POM — Nowy Staw skłaniają mnie dwa powody. Po pierwsze: drukowany w POPROSTU list społeczeństwa województwa olsztyńskiego i po drugie: tocząca się wokół tego listu dyskusja w olsztyńskiej Wyższej Szkole Rolniczej.

Ponieważ podczas praktyki dyplomowej byłem niejako „w skórze” naszych absolwentów, pragnąłbym podzielić się moimi doświadczeniami.

Gdy w POM, ze względu na brak kadr, dyrekcja zaproponowała mi etat agronoma rejonowego, byłem tym w pierwszej chwili bardzo zaskoczony. W pamięci tkwiły mi jeszcze słowa kierownika działu praktyk WSR mgr Roupperta, wypowiedziane na naradzie przed naszym wyjazdem: „Student powinien być praktykantem i dlatego też nie może obejmować odpowiedzialnych stanowisk”.

Tak to wyglądało w teorii. W praktyce okazało się jednak co innego i nie tylko ja, ale prawie wszyscy koledzy zostali z miejsca agronomami rejonowymi. Czy było to słuszne, można by na ten temat podyskutować, ale nie o tym chcę pisać.

Po wyrażeniu przeze mnie zgody na objęcie stanowiska agronoma rejonowego, otrzymałem pod opiekę z początku 3, a później 4 spółdzielnie produkcyjne. Powiedziano mi, że są to spółdzielnie dość „ciężkie”, a jedna z nich, w Trampowie, to — „gangrena”.

I rzeczywiście. W spółdzielni Trampowo ludzie nie chcieli wychodzić do pracy, roboty wykonywali z opóźnieniem, działka przyzagrodowa budziła o wiele większe zainteresowanie niż gospodarstwo zespołowe, słowem — było źle.

Pomimo że rozmawiałem i z przewodniczącym tej spółdzielni i z jej członkami (tylko wówczas, gdy byli w jakiejś większej gromadce), nie mogłem z początku dostrzec przyczyn zła. No cóż, spółdzielnie produkcyjne znałem tylko z opowiadań, z wykładów oraz z jednej wycieczki zorganizowanej przez zakład polityki agrarnej. (Chyba nie za wiele jak na studenta uczelni rolniczej).

Zastanawiał mnie szczególnie jeden ze spółdzielców, ob. Jan Witczak, który nagminnie bojkotował pracę. W wydziale politycznym POM, jak i w Powiatowym Zarządzie Rolnictwa w Malborku, o Witczaku mówiło się — bumelant.

Postanowiłem z nim porozmawiać. I oto okazało się, że Witczak do pracy nie wychodził z powodu niesprawiedliwych norm, że przewodniczący spółdzielni wyniki pracy zapisuje „na oko”. Byłem tym zaskoczony: przecież w biurze spółdzielni wisiały na ścianie wykazy norm i opłat w dniach obrachunkowych!

Sprawą tą zainteresowałem się bliżej. Ponieważ na uczelni niezbyt jasno wykładano, jak trzeba takie normy opracować, zacząłem szperać w literaturze, dyskutować z kolegami — agronomami. Przekonałem się, że w spółdzielni w Trampowie nor-

my są rzeczywiście niesprawiedliwe. Pominęto w zupełności podstawową zasadę, iż zarobki zależą od ilości wykonywanej pracy. Tak zwany system „dniówki słonecznej”, który w tej spółdzielni stosowano (mimo pozornej istnienia norm), był wysoce niesprawiedliwy i krzywdzący uczciwych i dobrych pracowników.

Należało więc wspólnie z zarządem spółdzielni i komisją rewizyjną opracować nowe, słuszne i sprawiedliwe normy. Proponowałem w tym celu przewodniczącemu (w zasadzie zgadzał się na tę „rewolucję”) różne terminy spotkań. Aby nie marnować tak drogiego w wiosennym okresie czasu, chciałem przede wszystkim wykorzystać dni świąteczne. „Może innym razem” — mawiał ciągle przewodniczący. (Jak się później okazało na jego koncie było kilkadziesiąt niesprawiedliwie wpisywanych dniówek).

W tych trudnych warunkach normy jednak opracowałem. Jaki był tego rezultat? Gdy przedtem wychodziło do pracy 10—12 osób, to po wprowadzeniu sprawiedliwych norm w pole wychodziło dwadzieścia kilka osób, w tym również kobiety i podrostki. A Witczak? Witczak stał się sumiennym pracownikiem, bo nie pracował już „na przewodniczącego”.

Zmierzam do tego, żeby wykazać jak bardzo ważną sprawą w pracy każdego absolwenta jest zrozumienie potrzeb i sytuacji środowiska, znalezienie wspólnego języka z ludźmi, ujęcie sobie tych ludzi. Jeżeli miałbym, to wyraził jednym zdaniem, powiedziałbym: swą pracę w terenie trzeba zaczynać od ludzi.

Na młodego absolwenta, czy praktykanta czeka w terenie wiele różnych niespodzianek. I ja miałem też swoją „przygodę”.

Otóż od jakiegoś czasu pewien brygadzysta traktorowy zaczął mnie zapraszać „na piwo”. Ale piwo było tylko pretekstem, gdyż „serdeczny kompan” zaczął stawiać i wódkę. Odmawiałem. Natomiast zwróciłem baczniejszą uwagę na pracę tego brygadzysty. I okazało się, że w aktach podpisanych już przez przewodniczącego i zarząd spółdzielni — sfałszował on wykonanie planu przez swoją brygadę. Brakowało tam tylko mego podpisu. (Widocznie brygadzysta chciał go zdobyć „przy piwie”). Ujawniono jeszcze inne przewinienia, np. traktory pracowały na polach znanego rozbijacza spółdzielni itd. Ostatecznie brygadzysta został usunięty z zajmowanego stanowiska i obciążony pokryciem strat wynoszących parę tysięcy złotych. Mogłem więc, beztrudno podpisując akta, nawarzyć porządnego piwa, skompromitować siebie i uczelnię, zyskać epitet pijackiego współpracownika.

Wiele podobnych „pułapek” czeka na absolwenta.

Musi on jednak znaleźć także w terenie jakie takie warunki, aby deksztakować się i pogłębiać wiadomości teoretyczne, podnosić poziom kulturalny itd. Tymczasem zdarzało się w naszym POM, że uważano za przestępstwo wcześniejszy powrót agronoma do domu, A przecież a-

gronom powinien przynajmniej wleczorem czytać książki, obejrzeć film czy studiować lekturę zawodową — same tylko wiadomości wyniesione z uczelni, w życiu — nie wystarczą.

Takie są moje uwagi na marginesie olsztyńskiego listu, który uważam za bardzo słuszny. Wydaje mi się jednak, że byłby on jeszcze słuszniejszy, gdyby materiał do niego zbierano nie tylko wśród społeczeństwa, ale gdyby więcej uwagi poświęcono na rozmowy i kontakty także z pracującymi w terenie absolwentami lub z takimi, którzy się kiedyś znaleźli „w ich skórze”.

WLADYSŁAW KRÓL
z-ca asystenta katedry
polityki agrarnej WSR
w Olsztynie

Znamienna narada

Głos zabierali profesorowie i działacze partyjni, aktywiści zetempowscy i młodzi pracownicy nauki... Choć porządek dzienny obejmował tylko jeden punkt: sprawy absolwentów Wyższej Szkoły Rolniczej — obradowano do późnego wieczora. Pięć godzin toczyła się żywa, głęboka dyskusja.

Zwołanie tej narady przez wydział oświaty olsztyńskiego Komitetu Wojewódzkiego Partii dobitnie świadczy o stopniu zainteresowania opublikowanym w POPROSTU listem ze strony politycznych gospodarzy Warmii i Mazur.

W dyskusji wzięło udział 11 osób. Przemawiali kolejno: prof. Eisle — dziekan wydziału mleczarskiego, prof. Budzlawski — wykładowca chemii mleka, prof. Gałąj — kierownik zakładu polityki agrarnej, tow. Król — zastępca asystenta katedry polityki agrarnej, prof. Koter — prodziekan wydziału rolnego, tow. Kardys — przewodniczący Zarządu Uczelnianego ZMP, tow. Jezierski — kierownik katedry marksizmu — leninizmu, prof. Kałużniak — dziekan wydziału zootechnicznego, prof. Dubiski — rektor WSR, prof. Mlynck — dziekan wydziału rolnego, tow. Weber — asystent katedry nasiennictwa.

Naradę zagał tow. Ossowski — kierownik wydziału oświaty Komitetu Wojewódzkiego. Podsumowania dokonał tow. Frank — sekretarz Komitetu Wojewódzkiego.

Z czołowych problemów, które zostały poruszone na naradzie, wymienić należy sprawę kadry wykładowców.

Wszystkie prawie dyskusanci zgodni stwierdzili, że nie można oddzielać nauczania od kwestii wychowania. Wiele tu zależy od osobistej postawy profesora, od jego osobistego przykładu, oddziałującego na młodzież. Ponieważ w tej dziedzinie nie zawsze dzieje się do brze — obradujący podawali wnioski, które mogłyby uzdrowić sytuację. Mówiono o konieczności pogłębienia szkolenia ideologicznego profesorów, oparcia go przede wszystkim na dyskusjach światopoglądowych, filozoficznych.

Sporo naukowców WSR prowadzi w terenie ciekawe prace, badania, zna trudności i potrzeby wsi, a tymczasem ich wykłady są zaprzeczeniem jakiegokolwiek powiązania z życiem. Własne doświadczenie — sobie — nauczanie studentów — sobie. Trzeba to zmienić.

Nie wszyscy wykładowcy są jednakowo aktywni społecznie i politycznie na terenie uczelni. Stąd

przełączenie zadaniami jednych — bierność drugich.

Należałoby wprowadzić systematyczną analizę pracy poszczególnych katedr, a w pierwszym rzędzie dobrych (celem upowszechnienia doświadczeń) organizować dyskusje w mniejszych zespołach, np. pracowników pokrewnych katedr itp. Z tą sprawą związana jest nierozłączna organizacja planu nauczania i wychowania na uczelni. W obecnej sytuacji trudno jest mówić o WSR jako jednolitym organizmie, o łączności z sobą poszczególnych katedr, zakładów. Prof. Gałąj dość lapidarnie to określił: „Uczelnia nasza jest podobna do worka kartofli, niby całość, a właściwie każdy sobie”.

Zjawisko to ma jednak głębsze podłoże, nie tylko natury organizacyjnej. Istnieje swoisty „dualizm funkcjonalny” — szkoldliwy, niesłuszny podział na katedry, przedmioty tzw. ideologiczne i tzw. zawodowe, na naukę i propagandę, na kształcenie działaczy i fachowców. A przecież już chociażby list wykazał niebezpieczeństwo, że tam, gdzie nie ma dobrego ideowego działacza, społecznika — tam również nie zdaje egzaminu fachowiec. Samo życie powinno więc skorygować złą praktykę niektórych uczelni, chociażby nawet była ona usankcjonowana okólnikami z Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego.

I tu dyskusja wskazywała na braki programu studiów, na, niekiedy, ich „abstrakcyjność”, niezyciowość, wykazała ich twórcom nieznaną aktualnych problemów naszego rolnictwa itd. A sami studenci to dostrzegają, szczególnie ci, którzy podczas praktyk, wyjazdów na wieś (wykopki, akcja łączności ze wsią) zetknęli się z terenem swej przyszłej pracy. Był na przykład wniosek jednego z praktykantów, aby wprowadzić na studia rolnicze osobno zagadnienie gospodarstw „na rozruch”, rodołogowych, jest to przecież zupełnie nowa, specyficzna dziedzina spraw. Również należałoby więcej miejsca w programie poświęcić maszynoznawstwu, z uwzględnieniem typowych awarii maszyn rolniczych itp. Ukazując młodzieży podczas studiów trudności przyszłej pracy — wykładowcy powinni ostrzegać jednocześnie przed błędami, wypaczeniami. Zrozumiałe, że zrobić to mogą tylko tacy wykładowcy, którzy sami mocno związani są z życiem, tacy, którzy swoje prace naukowe podejmują nie tylko dla uzyskania aprobata i rozgłosu wśród „autoritetów” PAN, ale dla pomocy „żywemu” terenowi, dla realizacji planów np. miejscowej WKPG.

Dyskusja nie ograniczyła się jednak do wykazania istotnych, ale raczej pośrednich przyczyn złego przygotowania do zadań absolwentów wychodzących z WSR. Dyskusja wskazywała również i na takie sprawy, jak brak więzi uczelni z absolwentami (konieczność organizowania zjazdów absolwentów, wyjazdy do nich, zbieranie w środowisku informacji o ich pracy). Jeżeli nie będziemy mieć szybko obrazu, analizy działalności wszystkich absolwentów danej uczelni, danego wydziału, trudno będzie określić tzw. „profil” absolwenta przyszłości, trudno będzie skutecznie działać na uczelni już teraz w celu uniknięcia błędów wykonywanych w liście.

Nawet przy obecnym rozeznananiu widać, że wiele potknięć absolwentów wynika m. in. stąd, iż obejmują oni od razu kierownicze stanowiska (brak kadr!), że teren nie jest często przygotowany na przyjęcie absolwentów, że są w nowym środowisku osamotnieni, pozbawieni systematycznej opieki, pomocy politycznej i zawodowej, możliwości dalszego rozwoju, podnoszenia swego poziomu kulturalnego.

Prof. Świątek — rektor WSR, przywołał na przykład ciekawe doświadczenia z uczelni czechosłowackich: tam absolwent przez rok po ukończeniu studiów znajduje się pod opieką uczelni, pracuje u boku starszego fachowca — dopóki sam nie „okrzepnie”. Czy można by to doświadczenie przenieść do nas? Sprawa jest chyba godna zastanowienia. W każdym bądź razie były w dyskusji głosy, aby może właśnie w ten sposób zorganizować 7-miesięczne praktyki i kierować na nie młodzież już po ukończeniu studiów, jak do pracy.

Ciekawe były wystąpienia dyskutantów, dotyczące roli organizacji młodzieżowej na uczelni w kształtowaniu przyszłej postawy absolwenta. Symptomatyczne np. jest zjawisko, że najbardziej aktywni, bojowi, uspołecznieni są studenci pierwszych lat, natomiast z czasem zapal ten słabnie. Na starszych latach studiów student uchyla się od zadań organizacyjnych, od funkcji. Są nawet wypadki czynnego i nonszalanckiego odnośnienia się do instancji zetempowskich, czy zetempowskich. Co gorsza, zdarza się to u tych samych ludzi, którzy pochodzą na uczelnię mieli w swych aktach personalnych sporą ilość tzw. „załączników” — świadectw ich uspołecznienia i „upolitycznienia”. Problem ten jest na tyle ważny, że zaszyfrowany na naradzie powinien wywołać szerszy odźwięk i w naszym piśmie i na u-

czelniach. Tu nie ma możliwości „rozpracowania” go, choć pod pióro cisną się i przykłady, i przyczyny, i wnioski.

Narada wskazała np. jedną z przyczyn — złą, niekonsekwentną pracę komisji dyscyplinarnej na uczelni, pobłażliwość, tolerowanie bezkarności i samowoli w stosunku do różnych „recydywistów”.

Wskazano także na nieudolność i niewłaściwość w postępowaniu z młodzieżą WSR ze strony Zarządu Wojewódzkiego ZMP. Wykorzystuje on studentów nie zawsze do najsluszniejszych zadań (np. werbowanie na sędziów zawodów sportowych), używa WSR do zapewniania sal odczytowych, akademii itp., robi to czasem w stylu telefonicznego, „strażackiego” polecenia do Zarządu Uczelnianego: „Dajcie, towarzysze, na dziś stu ludzi...”.

A Zarząd Uczelniany też nie jest bez winy. Ostro atakowano go na naradzie za formalizm w pracy, komenderowanie, a nie wyzwalanie inicjatywy młodzieży, „odfajkowanie” zebrania, nierrealizowanie podejmowanych uchwał, w potoku roboty organizacyjnej gubienie najistotniejszego problemu: troski o pełny rozwój młodego człowieka.

Trudno w suchym, informacyjno-sprawozdawczym artykule zamknąć wszystkie problemy, którymi żyła ta znamienna narada. Jedno jest pewne, że jeżeli płynące z niej wnioski nie zostaną włożone „pod suknio”, lecz będą realizowane konsekwentnie, nowe kadry absolwentów opuszczających olsztyńską WSR nie znajdą się więcej na lamach publicznej dyskusji — w sytuacji Wronów czy Cichockiego, bo będą to wysokowartościowe kadry naszego rolnictwa.

Ta nadzieja ma wszelkie szanse stać się pewnikiem, upoważnia do tego zrozumienie, z jakim do listu podeszli olsztyńscy towarzysze.

(kg)

Wydawca: Instytut Prasy „Czytelnik”.
Redaguje Kolegium.
Adres Redakcji: Warszawa 18, ul. Wilejska 17/1. Telefon red. nacz. — 841 24. Centrala 842-91.
Prenumerata: w urzędzie pocztowym najbliższym miejscu zamieszkania lub PPK „Warszawa” konto PKO nr 1-8003 — Warszawa w terminie do 10 każdego miesiąca na miesiąc następujący. Miesięcznik zł 1,40, kwartalnie 4,20, półrocznie — 8,40, rocznie — 16,80.
Administracja: PWS „Prasa” III Delegatura Warszawa ul. Marszałkowska 8, tel. 807-11.
Drukarnia: PWS „Prasa” Warszawa, Marszałkowska 3/5.
5-B 16932



Zdjęcie z meczu międzypaństwowego Polska — Niemcy, który się odbył przeą wojną w Królewcu. — Startowałem na polskiej ziemi — mówi Morończyk — a wokoło słyszałem obcy język. Widziałem na trybunach hitlerowców w mundurach, wrogo patrzących na zawodnika w białoczerwonym kostiumie. Byli jednak ludzie (siedzieli w dalszych rzędach), którzy naprawdę gorąco oklaskiwali zwycięstwo każdego Polaka. Już wtedy widziałem wrogów i przyjaciół. Wygrałem tyczkę wynikiem 4 m.



Trener Morończyk oprócz zajęć na AWF-ie opiekuje się kadrą AZS-u. Na zdjęciu widzimy go podczas treningu dyskoboli.

Dzisiejsze nasze rozważania dotyczą tylko sekcji wyczynowej AZS. Podsumowania pracy sekcji masowej dokonamy w jednym z najbliższych numerów.

Zwróciliśmy się do znanego trenera państwowego, Antoniego Morończyka:

— W jakich konkurencjach poczyniliśmy największe postępy?

— Najsilniejszą naszą konkurencją jest tyczka. Wystarczy spojrzeć na tabelę 10 najlepszych, na której 6 zawodników to członkowie AZS. Takie nazwiska, jak: Ważny, Bednawski, Szlagiewicz, Lewandowski, Fabrykowski, Skupny, Laurentowski, Gutowski, Tymosiewicz, Ilwicka, Kusion są znane w całej Polsce. W skokach mamy również bogate rezerwy. Przy okazji muszę wspomnieć o Nowickim. Chłopak ten posiada doskonale warunki na skoczka. Surowy, bez treningów i techniki skacze regularnie 185 cm wzwyż, ale... nie chce uprawiać lekkoatletyki, woli bawić się w koszykówkę, w której nigdy nie będzie

sezonowe rozważania LEKKOATLETYCZNE

miał takich rezultatów, jak w lekkoatletyce. Po rocznym treningu z pewnością osiągnąłby 2 m.

— Czy tylko w skokach poczyniliśmy postępy?

— Nie tylko. Nasi miotacze starają się jak mogą, by dorównać swym kolegom ze skoczni. Tegoroczną największą rewelacją był Kopyto, który, śmiem twierdzić, jest o ile nie większym, to przynajmniej tej miary talentem co J. Sidło. Jeżeli do tego dodamy takie cechy jego charakteru, jak skromność, ambicję, pracowitość (czego często brak Sidle) śmiało mogę powiedzieć, że w niedalekiej przyszłości poważnie zagrazi on Januszowi.

— Ilu zawodników AZS reprezentowało Polskę w Bernie?

— Na 36 zawodników, którzy re-

prezentowali Polskę, AZS dał 6. Reprezentacja nasza odniosła niewątpliwie sukcesy. Jednak nie obeszło się bez przykrych i niespodziewanych porażek. Z przyjemnością mogę powiedzieć, że wśród tych, którzy sprawili nam zawód, nie było azetesiaka, co świadczy o właściwej pracy zrzeszenia. Stawczyk, mimo że w biegu na 200 m osiągnął wynik 21,5 sek., tylko na skutek machinacji podczas losowania przedbiegów nie wszedł do finału, do którego dostali się zawodnicy z dużo gorszym czasem. Losowanie z góry dawało szansę zawodnikom z krajów kapitalistycznych, a o to przecież chodziło organizatorom. Ważny przeszedł wysokość 415 cm, co było jego rekordem życiowym i zajął 11 miejsce. Bardzo dobrze spisali się Ilwicka i Lerczakówna.

Lerczakównie jednak brak zamiłowania i tych cech charakteru jakie ma Kopyto. Baśka traktuje trening jako zło konieczne i jedynie wierzy w swój talent. Winę ponosi tu AZS Gdańsk, który uczynił z niej „primabalerinę”, przerastającą wszystkich talentem i... urodą. A tak wcale nie jest. Dobrze by było, gdyby przeniosła się ona na studia do Krakowa. Będzie miała tam inne otoczenie i, co najważniejsze, całą reprezentacyjną sztafeta znalazłaby się pod opieką trenera Dudka.

Z dalszych słów Morończyka wynikało, że AZS nie posiada 400-metrowców, płotkarzy i długodystansowców. Aby naprawić ten stan, w roku bieżącym w Białymstoku zostanie zorganizowany ośrodek biegów długich, który prowadzić będzie trener Grzęda. Płotkarzami zaś musi zająć się trener Szmidt z Poznania

dotychczas poświęcający im zbyt mało uwagi.

— Co jest przyczyną naszej słabości w wyżej wymienionych dyscyplinach?

— Jedną jest tylko odpowiedź: o ile w skokach i rzutach mamy dobrą i liczną kadrę trenerską, w biegach odczuwamy poważny brak specjalistów.

— Jaki jest stan przygotowań do igrzysk festiwalowych, które odbędą się w roku przyszłym w Warszawie?

— Nasz plan treningów został tak opracowany, aby zawodnicy osiągnęli szczytową formę na Igrzyskach. Nowością jest wprowadzenie wkrótce po Igrzyskach miesięcznego „roztrenowania”, po którym nastąpi wznowienie intensywnych treningów. Wszelkie zawody międzypaństwowe, a przewidujemy ich w roku przyszłym stosunkowo dużo, odbywać się będą w ramach przygotowań do olimpiady. Chodzi nam głównie o rutynę, stabilizację wyników i formy oraz obserwację zawodników.

— Jakie mecze międzypaństwowe przewidziane są w roku przyszłym?

— Jest ich wiele. Sezon bogaty, jak nigdy dotąd. A więc: trójmecz lekkoatletyczny Belgia — NRD — Polska, Polska — Węgry, mecz z Francją, Finlandią i Czechosłowacją, poza tym mityngi w Moskwie i Pradze oraz wspomniane już Igrzyska.

Wychodząc z mieszkania usłyszałem głos junióra Morończyka: — Proszę nas jeszcze odwiedzić!

— Odwiedzę na pewno, pomówimy wówczas na temat sekcji masowej

Rozmawiał LESZEK MANICKI

MAREK ZAKRZEWSKI

Z terenu list drugi

Najmilszy wrogu mój, redaktorze „Pokrzywy”! Wybac, że gorycz płynąca z mych cielesnych obrażeń tym szczerym imieniem każe cię nazwać, ale trudno mi zapomnieć, że z twej winy mam trochę podeptane żebra, lekki wstrząs mózgu, zapalenie spojówek oraz płuc.

Karę też poniesiesz słuszną, gdyż w wyniku moich dolegliwości nie otrzymasz w bieżącym tygodniu tryskającego zatechłym dowcipem tworu znakomitego pióra.

Praszk!



ZDZISŁAW ROMANOWSKI

Na plastyka bikiniarza

„Kretyn z wyglądu” — powiecie; Niestety i przy paleniu.

Gadułam

Dla wszystkich was maksymy dwie Zawiera zwrotka ta:

„Można nie mówić, co się wie, Lecz co się mówi, wiedzieć trza”.

MIR,

pokrzywy



rys. J. Cwiertnia

klódki gabinetu marksizmu - leninizmu. Dla mnie specjalnie te klódki zdejmował, pocziwina, a studenci patrzyli zadróżnie.

W istocie, rozgrzałem się szybko: szkarlatno-purpurowe ściany ozdobione delikatnie czarnymi elementami, jaskrawoczerwone firanki — to wszystko wywołało u mnie gwałtowne bicie serca, co, jak z pewnością wiesz, najmilszy wrogu, redaktorze, jest oznaką szybszego krążenia krwi, a więc rozgrzewa czo-



— „Czy sprzedajesz już coś od czasu malowania takich obrazów?”

— Naturalnie! Własną marynarkę, parę butów i kapelus.

(Forum)

wieka. Przy okazji jaskrawe barwy uszkodziły nieco tęciwkę mojego lewego oka. Wtedy dopiero zrozumiałem, że spojrzenia studentów, które brałem za zazdrość, były jeno wyrazem podziwu dla mojej odwagi.

— Dlaczego — spytałem — ach, dlaczego ta barwa?

— Redaktorze, przeć się do gabinet! Rzecz poważna, rewolucja, rozumiecie, czerwień!

Kiedy w dwadzieścia minut później zaproponowano mi zwiedzenie innego gabinetu marksizmu-leninizmu, zaprotekowałem ostro, wyjaśniając przyczyny. Uspokoił mnie przewodnik, zapewniając szczerze, że w tym gabinecie nic podobnego nie znajde. Nie skłamał: kiedy na oścież otworzył drzwi, a potem szafy, dostrzec mogłem jedynie starą puszkę po szpratach, sinonagie ściany i księżyc za oknem.

Już miałem wracać do hotelu zwiedzwszy ostatni z domów, kiedy spotkało mnie najgorsze wyzdręście, w wyniku którego z łatwością mogę poruszać czwartym żebrem licząc od góry z prawej strony: w obszernym hallu wchłonął mnie wir ludzki. Studenci walczyli zjadłe o jakieś karteczki leżące w wielkiej stercie na stole.

Kierowany prostą ciekawością, doczłgałem się do portiera, prosząc o wyjaśnienie.

— Wezwania z poczty do odbioru pieniędzy lub paczek. Każdy szuka czegoś dla siebie, a skoro znajdzie, jutro nie pójdzie na wykłady a na pocztę — odparł do bry człowiek na moje pytanie.

— A czy ZOA nie mógłby zorganizować zbiorowego odbioru, na ogólne upoważnienie?

— ZOA nie zając, a głupiemu radość — prostując się godnie, portier zacytował ludowe przysłowie.

Najmilszy mój, redaktorze wrogu, o bibliotekach też nie napiszę, bo tu żadnej biblioteki na Bystrzycy nie ma w żadnym z domów, z wyjątkiem jednego, a w tym jednym tylko dla swoich — parę starych zabytków.

Pa, kochany!

MEREK

BOGDAN BRZEZIŃSKI

Nawrócony bikiniarz

Jakże się zmienił ten młodzieńek, Ten sam, co nosił czub i lok... Ileż to miłych niespodzianek Spotyka nas przez cały rok!

Patrzcież na niego — jaki inny! Jak anioł ze świecą w kartki! Uśmiech na twarzy ma niewinny, Za to w kieszeni nie ma „ewiarki”...

A kiedy idzie tak piechotką, Każdemu uśmiech miły śle, Nikogo nie obraża płotką, Że matuś się prowadzi zle...

— Czemu to — pytam — mój młodzieńcze Tak się raniutko dzisiaj wstało? Młodzian wesoło zataił rce I rzecze: — Pędzę do PKO!

— Tam oszczędności swoje złożę, Każdy się przyda mi pieniążek, Albowiem pragnę, redaktorze, Kilka ciekawych nabyć książek!

Wzruszenie mi ścisnęło krtań I zapłakałem na ulicy.

— A potem... dokąd pójdzie pan?

— Jasne! — rzekł młodzian — Do świetlicy!

— Brawo, młodzieńcze mój kochany, Zasady ma pan wprost bezcenne! ...I obudziłem się spłakany,

Bo to był sen... Marzenie senne!

„Z tomu wierszy satyrycznych i humoresek pt. „SATYRYK W TERENIE”, który ukaże się wkrótce nakładem „WYDAWNICTWA LITERACKIEGO” w Krakowie).



BEZ SŁÓW

(Challenge)